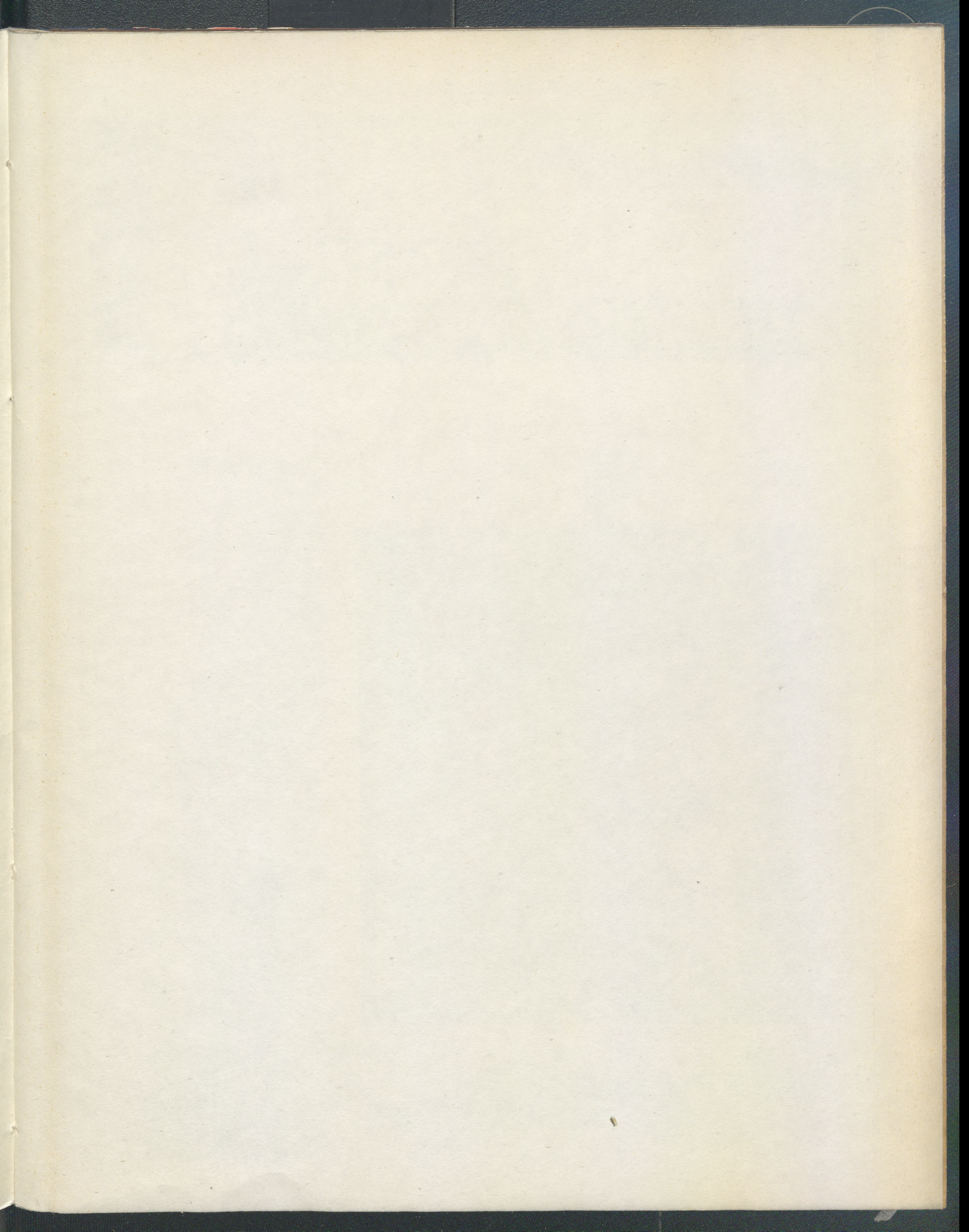


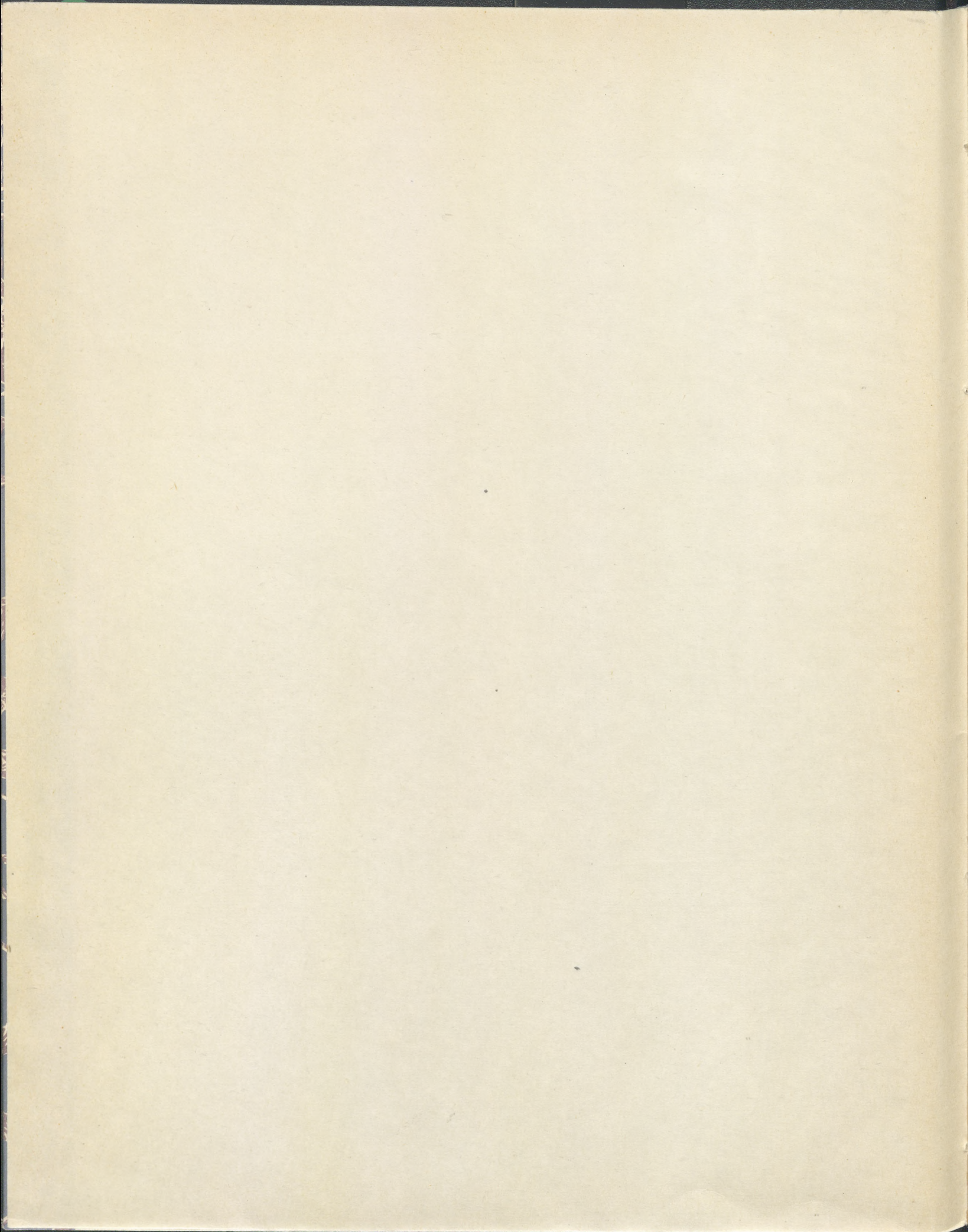
34

623405



This page is blank, containing no text or other markings.





Nr. 34.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

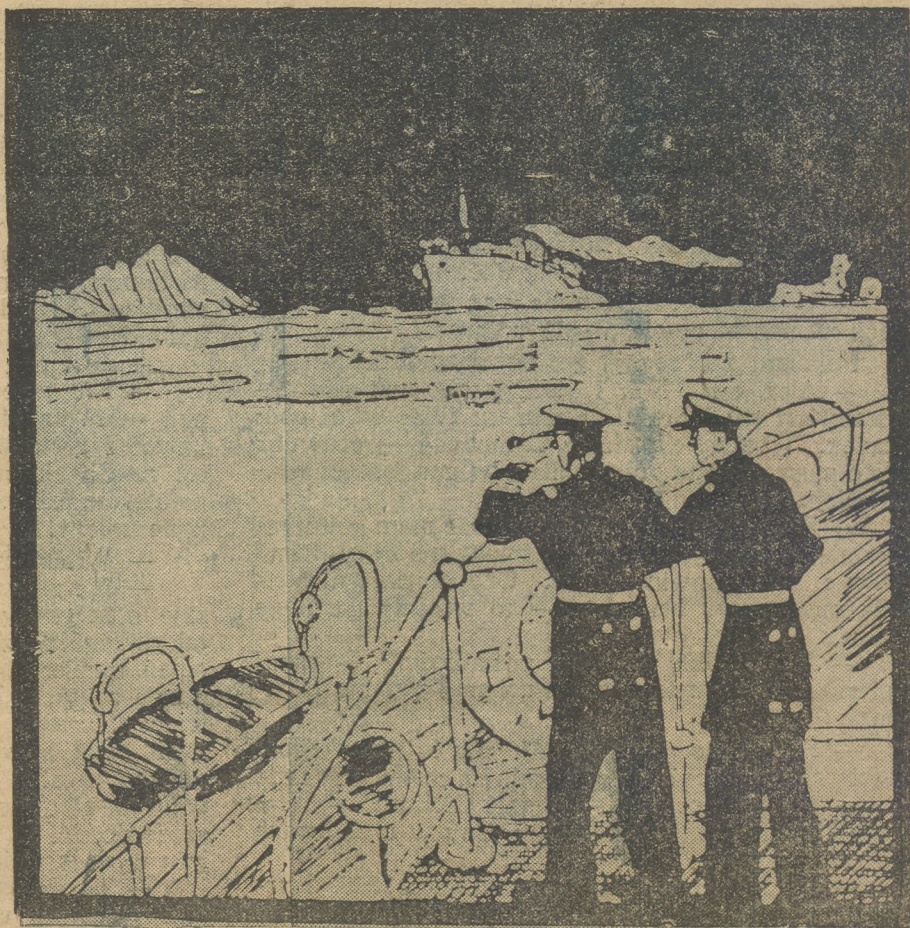
Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# WILKOŁAK



BIBLIOTEKA  
BN  
KRAKÓW

W. 623.405/34



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# WILKOŁAK

### Mr. Podgers jest zrozpaczony

Harry Dickson, jeszcze raz obrzucił badawczym spojrzaniem człowieka, którego przesłuchiwał policjant w małym posterunku miasteczka.

Przed stołem, za którym siedział sierżant policji, stał i składał zeznania człowiek otyły, wysoki i szeroko zbudowany, o twarzy nalanej, pełnej czerwonych plam i o dużych, ciemnych wąsach. Z początku był ten człowiek arogancki, teraz z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wściekły.

— Sierżancie! — przecież wygląda, jakbym ja był winien, a nie jakbym ja składał zameldowanie. Otyły człowiek dyszał ciężko.

— U licha! Jeżeli mnie pan podejrzewa, to niech mi pan to powie prosto w twarz!

Policjant zaprzeczył gestem desperackim:

— Ależ nie! Nie, i jeszcze raz nie! Nie podejrzewam pana o nic! Spełniam tylko swój obowiązek. Rzecz się stała w Campanuli — prawda? Więc muszę i pana przesłuchać, bo pan jest jej właścicielem.

— Kiedy powtarzam panu, że nie mam o niczym najmniejszego pojęcia. Mój leśniczy nie żyje. Zginął w lesie, gdzie powinien być. Czy go porwał pies, wilk czy tygrys bengalski — to właśnie nie moja sprawa.

— Jak wielkie są pana posiadłości? — zadał pierwsze w ciągu tego przesłuchania pytanie Dickson.

— Są bardzo rozległe. Ale czy to jest okolicznością obciążającą? Płacę podatki co do grosza.

— Nie o to chodzi, — odparł Dickson. — Większość pana majątku — to lasy. Czy w tych lasach wilków nie było?

— Był jeden, ale podobno w roku 1850. Jeszcze mnie wtedy na świecie nie było i pana też chyba nie.

Ziemianin był zły i ostatnie zdanie wypowiedział tonem mocno ironicznym.

— Nie oskarżamy pana o nic, Mr. Podgers, — podjął znów sierżant Hormond, — Niech pan zrozumie, że nie mamy najmniejszych poszlak przeciwko panu.

Sierżant mówił tonem pojednawczym:

— Leśniczy Barnett został pozbawiony życia przez jakąś dziką bestię. Lekarz sądowy orzekł,

że rany pochodzą od kłów jakiegoś dużego dzikiego zwierzęcia, wilka chociażby...

— Więc po co ja tutaj jestem potrzebny? — rzucił Podgers. — Złapcie wilka, ofiarujcie go do Zoo i będzie spokój.

— Nie ma pan przyjaciół w Darchill?... — rzucił nagle Dickson.

Pytanie to, wypowiedziane tonem niemal twierdzącym, wcale nie rozgniewało ziemianina.

— Nie, nie lubią mnie moi sąsiedzi i to mi się podoba. — Nienawidza mnie nawet! I to, moim zdaniem, dobrze o mnie świadczy. Bo i ja lekceważę sobie tych głupców, którzy tutaj mieszkają, tych plotkarzy, ciemnych hodowców owiec i ich żony i ich dzieci. Nie lubią mnie, bo jestem bogaty, to jest najważniejsza przyczyna.

— Jest pan podobno nawet bardzo bogaty.

— Nie przeczę. Jestem właścicielem Campanuli — co za głupia nazwa! — której część widać nawet z tych okien. A czy panu wiadomo dokąd się rozciągają moje ziemie? Do samego morza, piętnaście kilometrów. Kanał też prawie cały do mnie należy.

— Wielki majątek, istotnie, zauważył Dickson.

— Nie na tym koniec. Mam trzy zamki. Pierwszy to „Ognisty Zamek“ Fire Castle, nazywają go tak dlatego, że został zbudowany z czerwonego, jak ogień, kamienia. Poza tym — do mnie należą jakieś głupie ruiny, które ludzie nazywają „Piraci“ — nie wiem dlaczego. Las należy dom nie, łąki i pola też, mam kilka folwarków, a większość mieszkańców wioski, to albo ludzie, którzy mieszkają w moich domach, albo tacy, którzy u mnie pracują. Mogę jeszcze dodać, że berlinki, jakie chodzą po kanale należą w większości również do mnie...

— To też mówią, że jest pan jednym z najbożatszych ludzi w całym Zjednoczonym Królestwie. Detektyw ze zdumieniem aż kiwał głową.

— Ale tytułu żadnego nie mam i majątku tego nie zdobyłem drogą spadku jak większość bogaczy z arystokracji. Jestem synem szynkarza zawiejskiego. Miałem się poświęcić hodowli owiec jak wszyscy w naszej wsi. Zamiast tutaj, wolałem jednak hodować owce w Australii. A jak się tam dorobiłem, wróciłem tutaj i zaczęłem skupować owce. Polityką się nie zajmuję, do parlamentu nie mam zamiaru kandydować. Taki jest Polydor Podgers!

— Jest pan wdowcem, Mr. Podgers, — ciągnął dalej bardzo uprzejmym tonem detektyw.

— Tak jest. Wdowcem bezdzielnym, trzeba dodać. Żona moja, pochodząca z biednej rodziny, zmarła stosunkowo wcześnie. Nie ożeniłem się po raz drugi, bo nie chce się dostać w ręce pierwszej lepszej awanturnicy.

— Czyżby Molly Dennock była awanturnicą?

— Już i o tym pan wie? A może ją zamordowałem, panie detektywie?

— Nie. Ale złamał pan jej serce, — rzekł surowo detektyw. — A przecież była to dziewczyna dzielna, doskonała nauczycielka, która ufała panu. Udy pan swych obietnic nie dotrzymał — odebrała sobie życie.

— Proponowałem jej rentę. Mogła mieszkać choćby w Londynie. Dawałem jej dosyć na dostatnie życie.

— Jest pan niezawodnie zdania, że za pieniądze można wszystko kupić i że wszystko można złotem okupić.

Podgersa mocno ta uwaga dotknęła. Ukrył ją pod maską gniewu:

— Nie przyszedłem tutaj, żeby słuchać pańskich uwag!

— Oczywiście. Jest pan tutaj, aby udzielić mi pewnych wyjaśnień. Niestety, muszę się zainteresować nawet pana życiem prywatnym.

— Cóż to ma wspólnego ze śmiercią mojego gajowego, albo jak go niektórzy nazywali — mojego leśniczego?

— Ma dużo wspólnego. Barnett był pańskim zaufanym. Używał go pan do załatwiania najrozmaitszych poleceń, nieraz natury bardzo dyskretnej.

— Czy może przez Barnetta starałem się o względy wilczycy i dlatego wilk rozszarpał go?

— Kto wie... Może to porównanie okaże się wcale nie tak bardzo odległe od prawdy...

— Więc jednak posądza mnie pan!

— Nie. Ale nie wiem, czy któregoś dnia nie będzie pan miał sprawy o nadużycia swego stanowiska pracodawcy wobec któregoś ze swych licznych podwładnych.

Sierżant Hormond, którego wyraźnie zaniepokoił ostry ton, jaki przybrała rozmowa, czym prędzej zmienił temat:

— Pozwolał panowie, że jeszcze raz streszczę przebieg wypadków. Barnett wracał od jednego z pańskich hodowców — Simpsona.

— Simpson nie jest moim hodowcą, — rzucił gniewnie Podgers. — Właśnie, że nie chce ze mną się ugodzić! Mieszka tuż u granicy moich dóbr i gospodaruje na własną rękę!

— Mniejsza o to, — zauważył sierżant. — Według pana zeznał — Barnett zachodził często do Simpsona, aby skłonić miss Polę Simpson do przyjęcia pracy w pańskich majątkach.

— Tak jest. Proponowałem jej stanowisko dyrektorki szkoły dla dzieci mych pracowników.

— Czy nie po to, aby spotkał ją ten sam los, co Miss Dennock?

— Miała tylko zająć jej stanowisko w szkole, nic ponadto.

Podgers nachmurzył się. Widać było, że te wspomnienia są dlań bolesne.

— Dalej było tak: — ciągnął sierżant. — Leśniczy opuścił zagrodę Simpsona o zmierzchu. Wraczał ze stanowczą odmową młodej niewiasty. Stary Simpson zabronił ponadto Barnettowi, aby się kiedykolwiek pokazał w jego domu. Barnett wracał przez

las. Szedł na przelaj. Nazajutrz znaleziono jego zmasakrowane zwioki. Dzika jakaś bestia rozszarpała mu przede wszystkim gardło. W gęstwinie znaleziono odciski łap dużego zwierzęcia. Odciski przypominały łapy wilka, ale jakiegoś wilka olbrzymiego.

Sierżant zwrócił się do Podgersa:

— Nie mógł pan nam podać żadnych szczegółów, któreby tę sprawę wyjaśniały. O dzikich zwierzętach, przebywających w lasach pańskich, nigdy pan nie słyszał, twierdząc, że najdziksze i największe są zwykle lisy.

Podgers uniósł się:

— Potwierdzam te dane. I nie wiem po co byłem tutaj wzywany!

— Muszę jednak, — kontynuował Hormond mocno wahający się, — muszę zadać panu jeszcze jedno pytanie. — Podobno groził pan Barnettowi wydaleniem, i to przed kilku zaledwie dniami. Miał pan z nim ostatnio stałe scysje i nawet dochodziło do awantur.

— A więc wśród moich ludzi są donosiciele! Niech się któryś z nich dostanie w moje ręce. Nie będę się z takim panem patyczkował!

— Czy może mi pan podać przyczyny tych nieporozumień?

Twarz bogacza nalała się krwią:

— Mogę je podać. Nie mam czego tutaj ukrywać. Barnett chciał mnie wystrychnąć na dudka! Zamiast orędować w mojej sprawie — zalecał się do miss Simpson.

— Czyżby miał jakieś szanse u miss Simpson?

— Właśnie, że miał! Barnett, jak powiadały dziewczyny, był przystojny i poza tym był to człowiek, który kiedyś miał duże aspiracje. Studiował podobno na uniwersytecie, nie skończył jednak, miał wykształcenie i umiał mówić o książkach. W tym czasie ja pracowałem w Australii jako wyrobnik. Czytał swoim dzierlatkom wiersze. Ja tego nie potrafię. W ogóle nie rozumiem wierszy. Może pan detektyw z Londynu uzna, że w takim razie ja sam sprowadziłem tutaj jakąś bestię i że ją z zazdrości poszczułem na Barnetta. Takie rzeczy dzieją się podobno w książkach.

Dickson czuł, że Podgers mówił prawdę. Było mu trochę żal tego człowieka, tego dorobkiewicza, ale może i uczciwego człowieka, który na pewno przeszedł bardzo wiele w życiu.

— Hormond — zwrócił się detektyw do policjanta, — zdaje mi się, że pan Podgers już nam niczego więcej w tej sprawie powiedzieć nie może. Oczywiście, że nie ma on i nie może mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

Te słowa podziałały na ziemianina kojąco. Od razu przestał się irytować. Jestem w każdej chwili do panów dyspozycji. Proszę dysponować wszystkim co posiadam. Jeżeli się uniosłem — niech panowie wybaczą człowiekowi... — głos jego się załamał, — który... nie ma ani jednego przyjaciela, — dodał ochryplym ze wzruszenia głosem.

Detektyw poczuł teraz dla niego wręcz sympatię.

— Pana, panie detektywie, o którym słyszałem jak wszyscy w Anglii, przepraszam szczególnie. Czy mógłbym prosić panów do siebie na obiad? I pana, panie sierżancie?

Policjant odmówił. Był na służbie.

— Ja przyjmuję to zaproszenie z całą chęcią, — rzekł detektyw. — I dziękuję panu. Po obiedzie

poproszę pana, aby mnie oprowadził po swych wio-  
sciach.

Podgers uśmiechnął się i podał Dicksonowi  
rękę.

— Cieszę się bardzo. Wszystkie wrota w ca-  
łym moim majątku są dla pana otworem. Może uda  
nam się wypłoszyć wilka!

★

Detektyw zachował na długo w pamięci chwile  
spędzone za stołem u Poppy Podgersa, jak go po-  
wszechnie nazywano. Jesień złociła już z lekka  
szczyty drzew. W naturze była sytość i dojrzałość.  
Dni były piękne i ciche.

Na wyspach — ludzie pracowali przy ostatnim  
strzyżeniu owiec — już ostatnim przed zimą.

Zamek w Campanuli był dziwną budowlą, od-  
restaurowaną w sposób uragający wszelkim zasa-  
dom dobrego gustu. Była to jakaś bezładna miesza-  
nina fragmentów nowoczesnych ze średniowieczny-  
mi. Całość była pono dziełem „znawstwa“ samego  
Mr. Podgersa.

Podczas posiłku detektyw miał możliwość obser-  
wowania bardzo licznej służby, płaszczonej się przed  
swym chlebobawcą, ale jednocześnie przebiegłej i  
podejrzliwej w stosunku do gości. Od człowieka,  
który na pewno był stajennym, a który przy stole  
ćwiartował i krajał olbrzymie kawały dzierzyny  
aż po lokaja, który podczas nalewania win ze szcze-  
gólnym pietyzmem informował gościa jakie mu ko-  
sztowne wino nalewa — wszyscy byli dziwakami  
i czynili niepowszednie wrażenie.

Podgers jadł za trzech.

— Nie ma jak jeść, — mówił, mlaskając głośno.  
— Trzeba panu wiedzieć, że w młodości nie raz  
głodowałem. Odbijam to sobie teraz...

Potężny schab, począł znikać z talerza gospo-  
darza, gdy lokaj zaanonsował kapitana Sandbury.

Podgers tłumaczył się z uśmiechem:

— Musi mi pan darować, ale przywykłem do  
tego, żeby przy stole załatwiać również niektóre  
interesy. Jem tak wiele i tak często, że muszę je-  
dno godzić z drugim. Może pana ten stary Sand-  
bury zainteresuje. To człowiek niepowszedni. Był  
niegdyś kapitanem wielkiej żeglugi. Nie powiodło  
mu się w życiu. Dziś jest kapitanem — jeżeli takie-  
go słowa można w tym wypadku użyć — na pok-  
ładzie marnego stateczku który z morza wpływa  
do kanału aż do moich kopalni marmuru. Czasami  
przeladujemy kamienie z tego transportowca na  
pełnym morzu, czasami kierujemy je aż do Leith.

Podgers ożywił się i uśmiechnął się:

— Wie pan co jednak jest w historii tego ka-  
pitana, przynajmniej z mojego punktu widzenia,  
rzeczą najciekawszą?... Nie zgadnie pan! Otóż trze-  
ba panu wiedzieć, że Sandbury był kapitanem tego  
właśnie okrętu, którym ja po raz pierwszy jecha-  
łem jako nędzarz do Australii i na którym mnie  
karmiono odpadkami z puszek od konserw! Dziś  
pan kapitan Sandbury jest zdany całkowicie na  
dwa funty pensji tygodniowo, które mu wypłacam  
i na wielkie rozkosze go nie stać.

Wielki kawał schabu zniknął w ustach Pod-  
gersa, gdy do jadalni wszedł człowiek już stary,  
o dystygowanym wyglądzie, twarzy pokrytej  
zmarszczkami — świadectwem licznych przeżyć.  
Sandbury uklonił się swemu pracodawcy nisko.  
Ten odpowiedział tylko lekkim skimieniem głowy.

— Co słyhać, Sandbury? Jak tam pańskie  
stare pudło? Jeszcze się trzyma wody?

Stary marynarz westchnął ciężko, wzruszył  
ramionami i nachmurzył się.

— Co się stało, — rzekł Podgers. — Coś pan  
tak spoważniał?

— Chodzi o to, że moje pudło jeszcze wody  
trzyma się, ale czy długo będzie mój statek po wo-  
dzie pływał — o tym bardzo wątpię.

— Co mi pan tutaj za bajki opowiada! Co ma  
znaczyć ta karawaniarska mina?

Podgers, zwłaszcza podczas jedzenia, nie lubił  
mówić o rzeczach przykrych.

— Czyżby pan nic nie wiedział, panie szefie?

— Wiem, wiem o wszystkim co się u mnie  
dzieje. Ale co pan ma, u licha, na myśli?

— Mam na myśli, że cała flotyła została unie-  
ruchomiona przed Rock-Head, że załoga opuściła  
statek „a sternicy prowadzący pana transportowce,  
oświadczyli mi, że więcej dla pana pracować nie  
będą.

Podgers wypił jednym duszkiem szklanke  
czerwonego wina i spoglądał potem na kapitana  
szeroko rozwartymi oczami.

— Co się stało? Jakie лихо ich tknęło?... Czy,  
im źle płacę? Czy może roboty u mnie jest więcej,  
niż gdzieindziej? Strajk! Strajk poprostu. I co, chcą,  
żebym im więcej płacił? O ile więcej? Jakie sta-  
wiają żądania-

Sandbury pokiwał głową.

— Nie o podwyżkę im chodzi. Powiadają, że  
nie będą pracować na ani jednym z pańskich stat-  
ków. Nie chcą pracować dla człowieka — tak po-  
wiadają — który jest w zмовie z szatanem. Statki  
nasze są opętane przez diabła — tak powiadają lu-  
dzie. Najlepszy dowód — powiadają — to fakt, że  
na pańskich ziemiach straszy jakiś willkołak.

— Szatan!... Diabeł!.. Willkołak! Co to za hi-  
storie? Przecież to dobre dla dzieci. Czy pan de-  
tektyw nie wie czasem co to za zwierz ów will-  
kołak?

Detektyw uśmiechnął się.

— Willkołak?... Lud w Anglii i w innych kra-  
jach wierzy, że willkołak — to duch nieczysty,  
wcielony w wielkiego wilka, który straszy ludzi,  
napada na nich i nawet ich morduje.

— Czy o takiego wilka chodzi moim ludziom?  
— rzekł Podgers, który czynił widoczne wysiłki,  
aby nie wybuchnąć. — Kto go widział i kiedy? Kto  
słyszał o takim stworzeniu.

Kapitan Sandbury wydobył z kieszeni notes,  
przewrócił kilkanaście kartek i rzekł:

— Jeżeli pan sobie życzy, to mogę podać do-  
kładnie co ludzie gadają. Zapisalem sobie  
wszystko.

— Gadaj pan! Tylko prędzej! Aż uszy puchną,  
kiedy się tych bzdur słucha!

Kapitan odchrząknął i jak człowiek o słabym  
wzroku czytał ze znacznej odległości ze swego  
notesu:

— Mamy, proszę pana sześć transportowców:  
„Kwiat“ — „Płomień“ — „Junak“ — „Młodzik“ —  
„Rączy“ i „Gwiazdę“, którą ja dowodzę. Fakty  
wydarzyły się w ciągu mniej więcej dziesięciu  
dni. Oto one:

„Kwiat“. Mat Moran wysiadł na ląd, ażeby za-  
opatrzyć statek w świeżą wodę. Koło Niebieskich  
Źródeł spotkał się oko w oko z olbrzymią rudą be-  
stią, która przewróciła mu wiadra, obaliła go i na  
szczęście uciekła do lasu. Po kilku minutach Mo-  
ran słyszał wyraźnie głos z lasu: „Zagłada ludziom  
z „Kwiatu“!



„**Płomień**“. W ciągu trzech nocy z rzędu liny cumowe ktoś przecinał i statek wyszedł na wodę, narażając się na rozbicie. Dwukrotnie słyszała załoga z brzegu głos wołający: „Do topieli z „Płomieniem“!“

„**Junak**“. Kapitan Forth, gdy wracał na swój pokład, został zaatakowany w odległości mili od Rock-Head przez potężną bestię, która go porwała w pysk i wlokła po błocie. Gdy go wreszcie bestia wypuściła — Fort usłyszał wołanie: „Koniec Junaka!“ — Zaznaczam, że Forth był kompletnie pijany.

„**Młodzik**“. Cała załoga twierdzi, że każdy z jej ludzi słyszał potężne wołanie z brzegu: „Zginiecie! Wszyscy zginiecie!“

Sprawa na „**Raczyn**“ przedstawia się najgorzej. Jeffries, sternik, prowadził koło ostatniej nocy. Jeffries jest człowiekiem trzeźwym i spokojnym. Właśnie miał skały Hounds, gdy coś nim rzuciło o pokład z taką siłą, że stracił na chwilę przytomność. Gdy się z trudem podniósł — ujrzał olbrzymiego psa, o palających oczach, który w łapach trzymał koło sterowe i prowadził statek prosto na skały.

Jeffries jest człowiekiem odważnym i najmniej przesadnym ze wszystkich pańskich marynarzy. Skoczył bestii do gardła. Wilkołak ustąpił i wyskoczył przez burzę. Nie było wprawdzie od tego miejsca daleko do brzegu i pilot mógłby pognać za wilkiem, ale musiał całą uwagę skupić na sterze, bo statkowi groziło rozbicie. Ale po jakimś czasie usłyszał wołanie: „Zginiesz później, Jeffries“. Diabeł was wszystkich porwie!“

Na mojej „**Gwieździe**“ jeszcze się ta bestia nie pokazała, ale załoga jest już tak przerażona opowiadaniem ludzi z innych statków, że nie można na mój statek liczyć zupełnie.

Podgers nie wytrzymał. Uderzył pięścią w stół z taką siłą, że naczynia skoczyły, a fontanna sosów opryskała Dicksonowi twarz.

— Co to za niestworzone historie z tym waszym wilkiem! Komu pan tutaj będzie bajki opowiadał? Sprzysięgli się przeciwko mnie, nie więcej! Nie mam przyjaciół. Mam tylko wrogów.

Detektyw, który dotąd słuchał tego raportu w milczeniu, zwrócił się do kapitana:

— Czy sprawiłoby panu trudność zwerbowanie nowych ludzi na statki?

— Wielka. Nie znalazłbym najpewniej w ogóle chętnych. Marynarze — to ludzie przesadni. Gdy jakiś zabobon ich się uczepli — nie ma siły, któraby im to wyperswadowała. Poza tym w żegludze śródlądowej i przybrzeżnej brak teraz ludzi.

— Ale mnie nie wolno stać teraz! Moje statki muszą pracować! Mam wielką partię marmuru najlepszej jakości, który muszę jaknajprędzej dostarczyć do Leith. Gdy się spóźnię będę musiał płacić olbrzymie odszkodowanie!

— Mógłby się pan zwrócić do pierwszego lepszego towarzystwa żeglugi, któreby panu ten transport załatwiło.

Kapitan uczynił ręką gest przeczenia.

— Nie zna pan kanału, panie detektywie. Tutaj trzeba znać każdy metr terenu. Kanał jest poza tym tak płytki, że tylko specjalnie przez Mr. Podgersa zbudowane statki mogą po nim pływać.

— Tak jest, — potwierdził Podgers. — Stracę olbrzymie pieniądze na tym strajku, czy jak to nazwać. Moi odbiorcy zwrócą się do konkurencji,

która uczyni wszystko, aby już do mnie kupujący się nie zwrócił.

Podgers zwrócił się do Dicksona:

— Mam wrażenie, że ta sprawa zainteresuje pana.

W tej chwili do jadalni wpadł lokaj:

— Mr. Oakside pragnie z panem mówić. Ma bardzo ważną sprawę.

— Niech wejdzie. Czego ten znów chce ode mnie. Oakside jest kierownikiem hodowli.

Tęgi i barczysty człowiek w średnim wieku zjawił się w pokoju.

— Co to za pilna sprawa. Znowu jakieś nieszczęście?

— Już pan wie, sir? Tak jest.. Nieszczęście prawdziwe.

— Nic nie wiem. Wymamrotaj pan nareszcie co się stało?

— Nasze reproduktory!..

— Co się stało z nimi?

— Nieszczęście! — powtórzył hodowca.

Podgers zwrócił się do Dicksona, mocno wzburzony:

— Szukałem tych czterech baranów po całym świecie. To najpiękniejsze okazy, jakie można było dostać. Zapłaciłem za nie wściekle pieniądze.

— Ziemianin wrzasnął: — Co się z nimi stało, gadaj pan, Oakside!

— Piekło się w to wdało. To nie nasza wina.

— Powiesz pan nareszcie wyraźnie!

— Znaleziono je rozszarpane. Ani jeden nie uszedł. Wilk je rozszarpał.

## Obława

Podgers zmobilizował wszystkich swych ludzi.

Gospodarze z sąsiedztwa, dzierżawcy, hodowcy owiec, robotnicy z kamieniołomów, pasterze, nawet niektórzy marynarze ze statków — kto żył wzięty udział w wielkiej obławie. Zgłosili się również liczni ochotnicy z miasteczka. Nikomu nie odmówiono, nikogo nie odprawiono z kwitkiem.

Jeszcze poprzedniego wieczoru Harry Dickson nadał depeszę do Londynu.

Tom Wills, uczeń słynnego detektywa, po nocy spędzonej w ekspresie szkockim i kilku godzinach jazdy autem zjawił się u boku swego mistrza niemal w chwili, gdy obława się zaczynała.

Nagonka szła przez las wzdłuż kanału. Podwójna liczba strzelców i wielka sfora psów, a wśród nich dwaj ludzie z parą pięknych dogów, specjalnie tresowanych na wilki i dziki — cała ta armia ruszyła w las, aby skończyć wreszcie z ową bestią, nekającą okolice, a specjalnie szkodzącą Podgersowi.

Był dzień pochmurny. Od morza dał ostry wiatr. Las był obfity. Bazańty podrywały się z głośnym łopotem skrzydeł i leciały ciężkim lotem, raz po raz uciekał z pod nóg kórlik lub zajac. Niekiedy pies, nie mogąc powstrzymać swej żylki myśliwskiej — rzucał się w ogień za spłoszoną sarną. Ale psyzymane były krótko. Nie było to zwykłe polowanie.

Harry Dickson miał wyznaczone miejsce, w samym środku linii. Ale detektyw miejsce to ustąpił sierżantowi policji Hormandowi, a sam wybrał sobie stanowisko na prawym skrzydle, tuż przy kanale. Obok mistrza siedł Tom.

— Dlaczego pan, mistrzu, rzekł się tak dobrze miejsca. Prócz jelenia i sarny — inna zwierzyna do wody nie ucieka, a raczej przeciwnie — idzie w głąb lasu.

— Masz rację. Ale nie zapominaj, że nie mamy do czynienia ze zwyczajną zwierzyną. Nasz zwierz zachowa się napewno inaczej niż każdy przeciętny.

— Czyżby to był jakiś zwierz myślący?

— Wilkołak jest chyba zwierzęciem myślącym, jak sądzisz?

— Wilkołak? I pan w to wierzy, mistrzu?... Niech pan nie żartuje ze mnie.

— Gdybym nie wierzył, nie brałbym udziału w tej obławie.

— W tej raczej nagonce...

— Nagonka jest na zwierzę, obława — na człowieka.

— Czyżbyśmy szukali człowieka, a nie polowali na wilka.

Polujemy na wilkołaka. Moim zdaniem jest to obława. Bo ten wilkołak jest napewno człowiekiem i dlatego wierzę w takiego „wilkołaka“.

Byli we dwójkę nieco na uboczu. Najbliższe od nich stanowisko znajdowało się na odległości około 30 metrów.

Strzelcy i naganiacze byli ze sobą w kontakcie za pomocą krótkich świstków. Na lewo od detektywów szedł Jeffries — sternik, o którym mówił kapitan Sandbury. Detektywi słyszeli go często, jak szedł, rozgarniając trawy... Od czasu do czasu świstał i Dickson mu na sygnały odpowiadał.

— Uwaga, panie, — wołał Jeffries. — Paw z lewej ręki. Niech sobie leci. To nie wilk!

Piękny ptak poderwał się z gąszczy, wydał ze siebie pełny lęku krzyk na widok dwóch myśliwych i znikł w kierunku kanału.

— Do zobaczenia innym razem! — skinął ku pawowi rozbawiony Tom Wills.

Nagonka szła w dalszym ciągu przez las już trochę rzedniejący. Słychać było stałe granie psów i nawoływania naganiaczy. Na ślad wilka czy jakiegokolwiek innej drapieżnej bestii nie udało się natrafić.

W ten sposób nagonka przeszła siedem kilometrów. Na ósmym kilometrze zapowiedziany był postój.

— Co to! — rzekł nagle detektyw. — Nasz sąsiad się nie odzywa!..

Tom zaświstał w umówiony sposób. Jeffries nie reagował. Gdy Tom kilkakrotnie powtarzał sygnał — odezwał się dalszy strzelec.

Dickson był niezadowolony.

Wytworzyła się zbyt wieka luka w linii strzelców, tymbardziej, że psy weszły tylko bliżej środka.

— A możebym ja zajął jego miejsce, — zaproponował Tom.

— Teraz już za późno. Zbliżamy się do ósmego kilometra, a więc do postoju: zobaczymy gdzie się podział Jeffries.

Detektyw i jego uczeń przybyli ostatni na wielką polanę, dzielącą las od starego zamku. Wysoka wieża, której szczyty widoczne były jeszcze z lasu, teraz wyłoniła się całkowicie z za zieleni.

Strzelcy naganiacze szukowali się do odpoczynku. Wiązano psy i wydobywano posiłek. Powietrze było chłodne, ale rześkie.

Do detektywa zbliżył się Podgers.

— Chętniebym panów zaprosił do starego zamczyska, ale jak panowie widzą, jest to dziś tylko schronisko dla szczurów i myszy.

Zaledwie Podgers wymówił te słowa, gdy Dickson wyczytał na jego twarzy wielkie zdumienie.

— Brulls! — zawołał właściciel dóbr.

Człowiek w zielonej kurtce podbiegł i stanął na baczność.

— Co to za porządki! Ktoś mieszka w zamku bez mojej wiedzy?

Harry Dickson podszedł do Podgersa i wskazał na dym, dobywający się z za murów komina.

— Niewątpliwie ten dym tak pana zdziwił, — rzekł detektyw. — I ja już go widziałem. Sądziłem jednak, że ogień pod kuchnią rozpalila służba, aby przygotować coś gorącego dla nagonki.

— Przeciwnie, — złościł się Podgers. — Wydałem rozkaz, aby nikt przed nami nie wchodził do lasu!

— Służba cała jest tutaj, prócz kilku ludzi, którzy zostali w Durbill, o czym pan wie dobrze.

— Zaraz to sam sprawdzę, — gniewał się jeszcze ciągle gospodarz. — Czy pójdzie pan ze mną, Mr. Dickson?

Podgers nie przesadzał, twierdząc, że w Fire Castle mają schronisko tylko szczury i myszy. Zamek miał pewne walory architektoniczne, ale na zamieszkanie w nim nie nadawał się już zupełnie. Były to już gołe mury, zaniedbane w najwyższym stopniu i grożące zawaleniem.

Gospodarz poprowadził swych gości przez długi korytarz. Zerwało się kilka śpiących nietoperzy, gdzieś załopotano kawka, a dzika kotka, prychając i jeżąc się opuściła kojec z małymi.

— Nie przypominam sobie, — mówił Podgers, by tu gdzieś był przewód kominowy.

Ziemią szedł teraz pod górę po schodach i sapał jak lokomotywa.

Dotarli do tarasu przy wieży, nic nie znaleźli.

Podgers proponował już odwrót, Harry Dickson wskazał mu miejsce na kamiennej podłodze, szczególnie błyszczące, jakby specjalnie wypolerowane.

— Oto gdzie zapalony został ogień!

— Tutaj? A gdzie popiół z tego ognia.

— Ma pan rację. Wyrziliem się nie ściśle. Nikt tutaj ognia nie rozpałał. Tylko dym wzniecał.

— Niema dymu bez ognia, — napół żartował napół irytował się Podgers.

— Przysłowie to powstało w czasach, gdy chemia nie była jeszcze tak szeroko znana jak dzisiaj. Nietrudno wywołać dym, nie powodując prawie zupełnie ognia.

— Ale poco operował ktoś tutaj takimi dymnymi świecami?

— Poto, aby coś komuś zasygnalizować.

— Sygnał? Z tego zamku? A więc ktoś nas śledzi i ktoś nas chce podejść!

— Tak należałoby sądzić.

— Ale kto taki?

— Może pański sternik Jeffries mógłby nam na to coś odpowiedzieć.

— Cóż ma Jeffries z tym wspólnego?

— Moglibyśmy go o to zapytać, gdyby udało nam się go odnaleźć. Ale jak narazie Mr. Jeffries jest nieuchwytny. Zaginął!

Podgers pochylił się przez parapet wieży i bacznie okiem przyglądał się ludziom na dole. Roz-

tasowali się wszyscy jak mogli najwygodniej na polanie, tworząc małe grupy, żywo dysputujące i posilające się jednocześnie.

— Ma pan rację... Jeffries gdzieś się zapodział.

Podgers przyłożył już dłonie do ust, aby zawołać przez nie jak przez głośnik, ale detektyw go od tego zamiaru odwiódł:

— Lepiej nie niepokoić ludzi. Zachowajmy narazie tę wiadomość dla siebie

— Co pan zamierza uczynić? — niepokoił się Podgers. — Przecież brak Jeffriesa daje bardzo dużo do myślenia.

— Oczywiście, że daje, — odparł detektyw. — Dajmy bowiem na to, że dym służył do sygnalizowania. Nie przypuszczam, aby ów adres był skierowany do kogokolwiek z naszych ludzi, gdyż z lasu nie było go widać. Dym tylko dla tego zauważyłem, że szedłem z boku, na lewym skrzydle i że z tego krańcowego stanowiska dym można było za ledwie dostrzec.

— Jeffries też mógł dostrzec dym, — rzekł Tom. — Widziałem, jak Jeffries w pewnym momencie ruszył naprzód. A może on sam coś komuś sygnalizował?...

Detektyw zmarszczył czoło:

— Twoje pierwsze przypuszczenie jest logiczne Tomku, drugie — nie. Na to, by coś komuś sygnalizować, aby wyprzedzić nas o tyle, aby aż wejść tu na górę i zapalić dym — Jeffries nie miał czasu. Ale dym mógł widzieć doskonale, bo w pewnym miejscu była i na naszej drodze do tej polany spora polanka. Dzięki temu, że drzewa w tym miejscu nie zasłaniały — wieża i dym z niej były widoczne jak na dłoni.

— Ktoś nas zatem śledził? — rzucił Podgers, mocno zamieszany.

— Nie wątpliwie. Dym uchodził z tego tarasu w pewnym rytmie. Jeffries jako marynarz napewno znał się na sygnalizacjach rozmaitych systemów. Być może sygnały nadawane były według alfabetu Morse'a. Jeffries, człowiek nieskory do wynurzeń, dojrzał dym, ruszył naprzód, by sygnały odczytać, a potem już działał na własną rękę. Nie mam żadnych danych, aby uważać go za zdrajcę. Zdrajca i szpieg tak szybko nie opuszcza obozu nieprzyjaciela.

— Może chciał zdobyć sto funtów nagrody, jaką wyznaczyłem, za schwytanie tego wilkołaka? — zauważył Podgers.

— Bardzo być może.

— Ale co się z tym człowiekiem dzieje, Mr. Dickson? — Widzę, że jakoś wcale pana los jednego z najlepszych naszych marynarzy nie obchodzi.

Detektyw przez chwilę nie odpowiadał i spoglądał w dół na polanę.

— Co za wspaniały okaz doga! — rzekł detektyw, wskazując palcami na wspaniałego, wielkiego psa. — Czyj to pies?

— Jednego z ludzi z gór. Pies jest wytresowany do polowania na dziki i wilki.

— Możebyśmy zeszli niżej, — zaproponował detektyw. — I, jeśli pan łaskaw, proszę wezwać tutaj właściciela tego doga.

Podgers był gotów na wszystko. Po chwili już stary pasterz, prawdziwy baka z hali, w górskim odłudziu, stawiał się przed detektywem.

— Czy wasz pies odnajdzie człowieka?

— Bardzo łatwo, tylko, żeby miał wiatr.

— To znaczy, że trzeba mu dać do powąchania rzecz, jaka do tego człowieka należała? Czy tak.

Owczarz potwierdził.

— A jeśli zamiast rzeczy dam mu do wytropienia świeżą krew — to na ślad tego kto krwawił pies wasz natrafi?

— Jeszcze łatwiej.

— Krew, — zawołał Podgers. — Czyżby pan sądził, Mr. Dickson?...

— Niech pies nam na to pytanie odpowie, — rzucił ostro detektyw.

Owczarz kazał psu szukać...

Wielkie psisko najpierw weszło w koło, potem dog przeszedł przez hall, zawrócił, skierował się ku wieży i znów zawrócił, aż wreszcie już zupełnie świadom swej drogi ruszył przed siebie.

— Szukaj, Nero! Szukaj! — zachęcał owczarz.

Dog przebiegł kilka pokoi, wbiegł na wewnętrzny dziedziniec i zatrzymał się przed dużą stertą kamieni i ściółki. Pies zjeżył sierść i począł warczeć.

— Znalazł — rzekł owczarz.

Futerałem swej dubeltówki począł Tom Wills rozgrzebywać stertę.

Pies siadł nagle i począł wyć przeciągle. Po kilku chwilach ukazały się z pod kamieni i ziemi zwłoki Jeffriesa.

U gardła zmarłego widoczne były głębokie rany szarpane.

Takie same jak u Barnetta...

★

Poszukiwania, przeprowadzone na miejscu przez Dicksona i sierżanta Harmonda nie dały rezultatu. Dalszą nagonkę uznał detektyw za bezcelową.

— Zbadamy ten teren innym razem, — rzekł Dickson. — narazie zajmijmy się ciałem nieszczęśliwego Jeffriesa.

Nie było wątpliwości. Rany były niemal identyczne jak te, od których znalazł śmierć leśniczy, Barnett. Tu i tam działał ten sam zbrodniarz lub ta sama bestia.

Ludzie z nagonki wrócili do Durhill. Gdy Podgers wraz z detektywami znaleźli się pod wieczór w osadzie — spotkali się ze spojrzeniami z podziwem i niemłą ciszą. Ten nowy wypadek jeszcze nieprzyjaźniej usposobił ludność do ziemianina.

Podgers przeszedł między tłumem z głową podniesioną do góry, nie odpowiadając na bardzo nie liczne i nieśmiałe ukłony.

Gdy mijali gmach szkoły, ujrzeni światło w oknach.

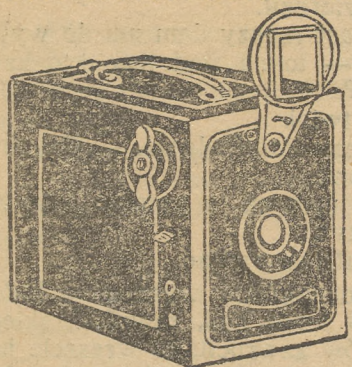
Podgers, który niewątpliwie pragnął jak najszybciej wylać swój zły humor na kogokolwiek ze swych podwładnych, mruczał i urągał:

— Światło w mojej szkole o tej porze! Za moje pieniądze — o tej porze światło! Przepraszam muszę się dowiedzieć, kto tu sobie na takie rzeczy pozwala...

Ziemianin ruszył przodem. Dickson i Tom Wills poszli w jego ślady. Znaleźli się w dużej sali szkolnej. Pod lampą z abażurem kilka pań szyło i prowadziło ożywioną rozmowę.

— Dobry wieczór szanownym paniom, — rzekł Podgers z ironią w głosie; — nie przypominam sobie, abym założył kiedykolwiek świetlicę i salon robótek w mojej szkole!

Kobiety przeczyły się i jak spłoszone zaczęły zbierać swe manatki. Jedna z nich, o wcale milej powierzchowności, odziana w czarny strój podniosła się i rzekła:



## APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektownie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona 1.  
skr. poczt. 802 H. D.

— Zechce pan wybaczyć, Mr. Podgers, pracujemy na rzecz biednych dzieci, a mówimy o strasznych wypadkach, tak nas głęboko dotykających...

Dama w czarnym stroju miała głos miłe wpadający w ucho.

Podgers, nagle zażenowany, skłonił się i przedstawił panów:

— Panowie Dickson i Wills z Londynu. A to Miss Lind, pełniąca obowiązki dyrektorki szkoły.

Detektyw zauważył, że Podgers położył specjalny nacisk na wyrazach „Pełniąca obowiązki”.

Trzy pozostałe niewiasty stały na uboczu, sztywne i onieśmiałe. Jedna z nich była bardzo ładna.

— Miss Simpson, — rzekł Podgers, — cieszę się, że pani przyszła do mojej szkoły.

— Pracujemy dla biednych dzieci. Nie wybiebrałam lokalu. Przyszliśmy tutaj, bo tutaj nas zaprosiła Miss Lind.

Słyszając te słowa z ust pięknej dziewczyny, Podgers posmutniał.

— Przepraszam, żem na panie tak napadł. Nie chciałem nikogo urazić. Bardzo się cieszę, że panie tutaj pracują. To bardzo piękny cel...

Podgers czynił wyraźne wysiłki, by naprawić swe niewłaściwe postępowanie z przed chwilą

Dicksonowi aż było żal tego człowieka, to też zręcznie skierował rozmowę na inny temat i zwrócił się do Miss Lind:

— Jako dyrektorka szkoły zna pani niewątpliwie wszelkie wydarzenia historyczne, dotyczące tej miejscowości. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań z tej dziedziny?

Nauczycielka zgięła się w ceremonialnym, trochę staroświeckim ukłonie i rzekła:

— Mam bardzo skąpe wiadomości. Ale jeśli bym mogła w czymkolwiek panu pomóc — proszę mna dysponować. Wiem że mam do czynienia z najsłynniejszym detektywem Zjednoczonego Królestwa.

Z kolei Dickson skłonił się głęboko.

— Pytanie moje, — ciągnął detektyw, — dotyczy raczej wierzeń ludu tutejszego. Czy w zamierzłej bodaj przeszłości krążyły w tych stronach klehdy o wilkołaku? Czy lud wierzył kiedykolwiek właśnie w tych stronach mocniej niż w innych, w wilkołaka i czy go ktoś widział?

— Wilkołaki?... Podania o wilkołaku — to bardzo dawne dzieje. Sądzę, że każda okolica kiedyś w zamierzonych czasach miała swego wilkołaka. Aby jednak tutaj, u nas, miał wilkołak występować nagminnie — tego nie słyszałam.

— A ja słyszałam, — odezwała się nagle Miss Simpson. — Całe moje dzieciństwo przeszło pod znakiem opowiadań o wilkołaku. W stronach w

których jest wiele owiec — nie brak nigdy wilków, a gdzie są wilki, tam są i wilkołaki.

— Bardzo słuszna uwaga, — rzekł z uznaniem detektyw.

— Tym nie mniej, — ciągnęła już teraz śmiało młoda dziewczyna, — w ostatnich czasach wilki w naszych stronach nie występują. Lasy są rzadsze, a owce lepiej strzeżone. Ostatni wielki wilk został zabity po nagonce w roku 1848. Upolował go Rodney Simpson — mój dziad. Był on wówczas właścicielem Campanuli i części majątków, które teaz należą do tego klucza.

— Ah tak... — rzekł detektyw, którego uwadze nie uszło wyzwanie pod adresem Podgersa, jakie pojawiło się w oczach Miss Simpson.

Obecny właściciel Campanuli, zły i jakby smutny równocześnie, nie pozostawił ostatniej mowy dziewczyny bez odpowiedzi:

— Tak jest... To ja odkupiłem majątek od rodziny Simpsonów i odrestaurowałem zamek, Simpson.

— Żałuję bardzo, proszę pani... Pracowałem całe życie bardzo ciężko na chleb i nie miałem za co się uczyć. A talentów artystycznych nigdy nie miałem. Mogę pani zakomunikować i sądę, że sprawi to pani przyjemność, iż wilkołaki cznią coraz większe luki w moim majątku.

Słowa te wypowiedział Podgers z takim smutkiem w głosie, że Miss Simpson zasmuciła się sama.

— Dzielna dziewczyna, chociaż nie bardzo opasowana, — rzekł do siebie Tom, który obserwował miss Simpson z dużą sympatią. — A Podgersa żal mi, mimo jego milionów.

— Mówiliśmy o wilkołakach z dawnych czasów, — nawrócił detektyw do tematu.

— Zdaje mi się, że to wszystko, co mogę w tej sprawie powiedzieć, — rzekła miss Pola.

Ale w tym momencie Podgers odezwał się ostro:

— Przepraszam bardzo... Moim zdaniem, Miss Simpson nie powiedziała wszystkiego. Mam oczywiście całe uznanie dla motywów, które ją do tego milczenia skłoniły tembardziej że i ja pewien szczerógół przed panem ukrywałem. Pytał pan mnie niedawno co to takiego ów wilkołak. Właśnie ja wiem najlepiej co takiego. Był taki wilkołak u nas, w Durhill. Był to człowiek, który skradł Rodneyowi Simpsonowi skórę z olbrzymiego wilka, którego Rodney zabił. Ów człowiek przywdziewał tę skórę najczęściej w nocy i siał postrach wśród ludności. Oczywiście, że nie czynił tego bez korzyści materialnych. Był to woźny w zamku Simpsonów i...

W tym miejscu głos Podgersa załamał się.

— Niech — że pan przestanie, — odezwała się Miss Simpson, — wcale nie chciałam wywoływać tych wspomnień. Czyni mi pan wielką przykrość.

Otyły człowiek spojrział na nią wdzięcznym i smutnym zarazem spojrzeniem.

— A jednak nie będę tego ukrywał. Tym człowiekiem, tym złym sługą rodziny Simpsonów był Archibald Podgers — mój dziad!

Ziemianin zwrócił się do Dicksona:

— Panowie detektywi niewątpliwie mają już wyrobione zdanie o dziedziczności wśród przestępców. Jeżeli mój dziad przed wielu laty był wilkołakiem — to czy nie wynika z tego, że ja nim jestem dzisiaj?... Albo, że przynajmniej jestem reżyserem tej całej komedii?.. Jeśli tak — to proszę mnie aresztować Mr. Dickson. Jestem do pana dyspozycji..

— Nie, odezwała się nagle podniesionym głosem dziewczyna. — Niech pan tego nie czyni Mr. Podgers nie jest zdolny do takiego czynu. Ręczę za to!..

Detektyw uspokoił młodą dziewczynę gestem:

— Nie podejrzewam Mr. Podgersa ani na jotę. Swoją drogą mam nadzieję, że nasz gospodarz potrafi pani okazać swą wdzięczność za tak gorącą obronę.

Opuścili już szkołę i szli drogą wiejską. Podgers był dziwnie wzruszony.

— Mr. Dickson, — szeptał do detektywa, — czy rzeczywiście ta piękna dziewczyna tak powiedziała?... Że nie jestem zdolny do złego czynu?... I przed tym mówiła, że będzie jej przykro, gdy ja będę miał przykrość... Kto wie?... Może jeszcze kiedyś skończy się mój zły okres w życiu...

Pożegnali się.

— Tomku, — rzekł Dickson, — trzeba ci wiedzieć, że zagłębiając się w jeden z tych dramatów, wiejskich, w których ścierają namiętności i w których na każdym kroku czekają nas inne niespodzianki.

Szli małą uliczką przez miasteczko. Był półmrok, bowiem dwie odległe lampy rzuciły tylko słabe i odległe światło. Powietrze było ciężkie.

— Tak, — odparł młody człowiek. — Jakbym w powietrzu czuł zdradę, jakby gdzieś tuż obok zaciął się potwór.

Tom obejrzał się, jakby się lękał, że stanie oko w oko z wilkołakiem.

Oczy młodego człowieka zwróciły się ku innym oczom — pełnym mienawości.

— Kapitanie Sandbury, — rozkazał detektyw ze zwykłym sobie chłodem. — Proszę mi dać rewolwer!

## Kapitan Sandbury już nie przemówi

Stary marynarz westchnął ciężko i zastosował się do rozkazu Dicksona.

Była to broń staroświecka systemu bębenkowego, zardzewiała i niewątpliwie więcej niebezpieczna dla strzelca, niż dla tego w kogo mierzył.

— Co za szaleństwo chciał pan popełnić? — zagadnął go spokojnie detektyw.

Kapitan kilkakrotnie pokiwał głową jakby biał sam nad sobą.

— Nie wiem sam... Zdaje mi się, że nie byłbym zdolny... Szukałem mordercy mego nieszczęśliwego Jeffriesa. Niegdyś był drugim oficerem na moim pokładzie, jeszcze wtedy, gdy dowodziłem wielkimi transatlantykami...

— I nas, akurat nas, podejrzewa pan o tę zbrodnię, lub choćby o udział w niej.

— Podejrzewam wszystkich. Ale wiem, że pan właśnie jakby wziął pod swą opiekę tego nędznika Podgersa. Jestem pewny, że za pana sprawą Podgersowi włos z głowy nie spadnie. Bogaty ma zawsze szczęście i wszędzie znajdzie opiekę.

— Za dużo pan rozumuje, kapitanie. Wiem, że tacy ludzie do zbrodni nie są zdolni. Gotówbym nawet zwrócić panu rewolwer, gdybym tylko wiedział że pan sobie czegoś złego nie zrobi.

— Niech pan zachowa ten rewolwer... Dla mnie i kuli szkoda. Nie nadają się już do niczego więcej, jak do pływania po najmniejszym kanale w całej Anglii.

— Nie należy przesadzać, kapitanie, — uspokajał go detektyw. Nie trzeba wpadać z jednej ostateczności w drugą... Możeby się pan zechciał raczej przyczynić do odnalezienia mordercy pańskiego przyjaciela przez okazanie nam pomocy?..

— Czyżbym się do tego nadawał? — zagadnął detektywa marynarz pełen rezygnacji.

— Wczorajszy pański raport świadczy, że umie pan grupować fakty i wyciągać z nich wnioski. Nie opowiedział nam pan jednak wcale, co o tym wszystkim mówią ludzie z pańskiej flotylli. Przecież muszą mieć jakieś zdanie o tych sprawach...

— Ma pan rację, — potwierdził kapitan, ludzie mówią niejedno, ale są to przeważnie tylko gadania pełne przesadów. Tylko jeden fragment tych opowiadań wydaje mi się godzien zainteresowania pańców...

— Słucham pana... Proszę, niech się pan nie daje prosić...

Sandbury przez chwilę, jakby się wahał i namyślał.

— Chodzi o Jeffriesa.

Dickson znów go zachęcił:

— Proszę, słucham pana.

Stary marynarz obejrzał się trwożnie:

— Czy jest to odpowiednie miejsce do powierzenia sobie tajemnic...

Mimo mroku, detektyw spostrzegł, że twarz kapitana była blada jak płótno. A głos jego drżał ze wzruszenia, a może i lęku.

— Nie! — rzekł nagle Sandbury zdecydowanym tonem, — nie! Nie jesteśmy w odpowiednim miejscu, abym mógł panu tę tajemnicę powierzyć!

Detektyw stwierdził, że znajdowali się akurat pod murem, okalającym stary zamek Podgersa. Był to mur wysoki bardzo, zbudowany z szarego kamienia. Droga za miasta kończyła się u stóp tego muru, niegdyś niewątpliwie warownego.

Dickson zwrócił się ostro ku marynarzowi:

— Kapitanie! To nie do nas chciał pan strzelać, a do kogoś innego!

— Co?... Co pan mówi?... Przecież ja jeszcze nic nie powiedziałem!.. Nic nie powiedziałem!

Ostatnie słowa wydobyły się jego ust jako krzyk prawie. Był przerażony.

Potem obrócił się nagle i nim detektyw zdołał go zatrzymać ruszył biegiem ku zamkowi i znikł w ciemności.

Tom rzucił się za nim w pościg, ale detektyw go powstrzymał.

— Na nic się to nie zda... Tem człowiek już więcej nie przemówi.

— Ale dlaczego tak nagle zbiegł. Co się stało?

— Widzisz tam?... Patrz!

Dickson szeptem wymówił ostatnie słowa,

## Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Pason belgijski Kal. 6-ciu mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta błyszczącym bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena

tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboję syst. „Flobert“ zł. 3.65 Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. skrz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegaj się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



wskazując jedną z wieżyczek muru, odległej o kilka zaledwie kroków.

— Czy widzisz te grube okiennice?.. Nie otwiera ich nikt chyba nigdy. A jednak teraz są uchylone.

— Ktoś nas podsłuchiwał.

— Bez wątplenia.

Tom chciał coś jeszcze dodać, lecz jego mistrz położył mu dłoń na ramieniu i tym ruchem nakazał mu milczenie.

Szybkim krokiem zeszli w dół ulicy. Gdy jednak znaleźli się za rogiem — detektyw zatrzymał się.

— Trzeba będzie nam zajrzeć do zamku Campanula.

— Podgers przyjmie nas napewno jak najchętniej, — zauważył Tom.

— Tym razem wejdziemy nieproszeni i bez mel-dowania. Zachowamy jak najściślejsze incognito.

— Rozumiem, — odparł Tom rozbawiony, — wejdziemy nie przez główne drzwi.

— Ani przez główne, ani przez boczne, my boy Czy widzisz ten kasztan wiekowy? Czy widzisz jak jego konary sięgają aż poza mur.

— Doskonale... A psy?

— W zamku nie ma ani jednego psa. Podgers nie lubi ich.

Wspięli się na drzewo i zeszli z niego na mur bez trudności. Opuścili się potem na gałęzi jak na ramieniu olbrzyma. Gdy byli o metr nad ziemią, już po tamtej stronie muru — skoczyli. Duży trawnik dzielił ich od samego budynku, w którym tylko nie-liczne paliły się jeszcze światła. Gdy zbliżali się do okien parterowych, światło w nich zgasło. Po chwili dostrzegli migotliwe jarzenie świec — w ręku człowieka zdążającego na górne piętra.

— Służba idzie spać, — szepnął detektyw. — Pali się teraz tylko w dwóch oknach gabinetu. Podgersa który widać jeszcze do snu się nie szykuje.

— Zdaje mi się, mistrzu, że chciałby pan rzucić dyskretne spojrzenie do tego gabinetu.

— Nie mylisz się, mój chłopcze. Nie sprawi nam to większych trudności i nie wątpię, że dasz sobie znakomicie sam radę. Wezmę cię na plecy i w ten sposób umożliwię ci wgląd do pokoju. Szto-ry są opuszczone jedynie do połowy, pokój jest nieźle oświetlony, a ty jesteś ukryty w cieniu.

Pian był prosty i do jego wykonania przy-

stąpili obaj detektywi jak zwykle: nie zwlekając ani chwili.

Miękka ziemia i trawnik stłumiły całkowicie odgłos ich kroków, zaś Harry Dickson rozmyślnie ominął żwir alei i wybrał drogę naprzelaj wprost do muru. Tuż pod upatrzonymi oknami, Tom wspinał się na szerokie plecy swego mistrza.

Po chwili młody człowiek rzucił pierwsze spojrzenie do wnętrza.

Trwało kilka minut nim Tom szepnął wreszcie:

— Podgers jest samotny... Nie może nas usłyszeć, gdyż jest w głębi pokoju. Siedzi na kozetce z głową w rękach. Jest barzo zaniepokojony... Wi-dać to na jego twarzy. Od czasu do czasu podnosi głowę i spogląda na zegar, stojący na kominku. Jakby czekał na kogoś... O! idzie teraz do drzwi.

Nagle Tom poczuł, że traci z widoku pokój. To jego mistrz pochylił się, pociągając za sobą swe-fo ucznia.

— Baczność! — szepnął detektyw. — Ktoś idzie przez trawnik.

Ze swego miejsca nie mogli dojrzeć kto idzie, ale słyszeli ciche kroki po trawniku, a potem skrzypiące po alei. Wreszcie ów ktoś już głośno stukając obcasami wszedł na kamienne schody, wiodące do wejścia do zamku.

— Wracamy na nasze stanowiska! — rzucił detektyw.

Po kilku chwilach, gdy wszystko wokół uci-chno, byli znów pod oknami. Gdy Tom znalazł się na wysokości okna — pokój był jeszcze ciągle pu-sty. Podgers gdzieś wyszedł, a może tylko wyjrzał ku tej osobie, na którą czekał.

Nie trwało to jednak długo. Drzwi się otwo-rzyły, a gest zdziwienia Toma świadczył że scena w pokoju musiała się gruntownie zmienić.

— Co widzisz? — niecierpliwził się Dickson.

— To nie do wiary... Wie pan kto wszedł do Podgersa?

— Skąd mam wiedzieć? Gadaj!

— Miss Lind!

Harry Dickson pragnął za wszelką cenę sam zajrzeć do środka.

— Spróbuj się trzymać parapetu... Nie spad-niesz? — zagadnął ucznia.

— Trzymam się.

— Jeśli wytrzymasz dłużej — wspinam się do ciebie.

— Śmiało, mistrzu!

Detektyw zręcznym ruchem wspinał się do wy-sokości okna, następnie zaś jak zawodowy akroba-ta przerzucił się na rękach i oparł o parapet.

Nauczycielka siedziała za stołem w pokoju Mr. Podgersa. Była cała w czerni, w tej samej sukni, w której detektywi widzieli ją w szkole, tyle tylko, że narzuciła na siebie szeroką pelerynę. Nie spo-glądała swemu rozmówcy w oczy, lecz błędziła spojrzeniami po ścianach pokoju. Podgers słuchał jej z posępną miną.

W miarę jak nauczycielka mówiła — podno-siła głos i ożywiła się. Oczy jej nabierały blasku, na policzki wystąpiły rumieńce i wreszcie mówiła tak głośno, że Dickson i Tom słysze i już pojedyn-cze wyrazy... Wyrazy „świeca“, „Rock Head“, „Fire Castle“ i inne dosłyszeli obaj wyraźnie.

Słowa te wywarły na Podgersie niezwykle skutek.

Stał się nerwowy, twarz mu się skurczyła w grymasie bólu i wreszcie można było z jego ry-sów wyczytać rozpacz i rezygnację

Mimo to odpowiadał tylko monosylabami, dla obu podsłuchujących za oknem zupełnie niedosłyszalnymi. Wreszcie Podgers uczynił kilka gestów. Szukał czegoś po kieszeniach. Po chwili wydobyl książeczkę czekową i znów szukał pióra wiecznego.

Ale Miss Lind ruchem łagodnym wprawdzie, choć zdecydowanym, odtrąciła dłoń, która już szykowała się do pisania, a w całej jej postaci widać było odmowę.

Podgers, złamany zupełnie, odprowadził ją do drzwi.

W zachowaniu się i postawie Miss Lind można było z łatwością wyczytać tryumf zwycięstwa.

— Na dół — rozkazał detektyw.

Słyszeli kroki Miss Lind po schodach i potem do alei.

Po krótkiej chwili zgasło światło w gabinecie.

— Nie mamy tutaj już nic więcej do roboty.

Detektyw nagle pociągnął swego ucznia za ramię i poprowadził w cień pod murem.

Jakaś dziwna postać wyłoniła się z ciemności i zamierzała prosto od domu Podgersa ku ruinom starego zamku.

Kontury tego dziwnego stwora rysowały się coraz wyraźniej. Wreszcie obaj detektywi ku swemu bezgranicznemu zdumieniu ujrzeli jakby wilka, biegnącego z wielką chyżością na tylnych łapach.

— Trzymaj go! — rzucił detektyw i pobiegł co tchu za dziwnym stworzeniem.

Ale ów „wilkołak“, ów stwór niezwykły, znikł im nagle z oczu. Znaleźli się przed murem bez wylotu i bez drzwi.

★

Daremnie czekali całe godziny, ukryci za krzakami bzu i jaśminu. Potwór nie ukazał się więcej. Mosiężny kur na jednej z wierzynek muru okalającego dom Podgersa zaśnił w pierwszych promieniach słońca. Musieli opuścić tę kryjówkę, jeśli nie chcieli, aby ich spostrzegła służba.

Na wschodzie złociło się już niebo. Wstawał dzień. Gdy szli uliczką ku miastu — z jakiejś obory wyszedł pasterz; wieśniak prowadził kilkanaście kóz na pastwisko.

Wieśniak miał tak pocziwą minę, że Dickson pozdrowił go:

— Dzień dobry! Ładny dzień się robi..

— Dzień dobry panom. Dzień ładny, bo ładny, ale nie dla każdego.

— Dla kogóż to będzie brzydki?

— Dla naszego dziedzica.

— A to dlaczego?...

Chłop podrapał się w głowę i zaczął nieskładnie:

— Strajkować mu mają. Nie chcą robić... Ani robotnicy, ani ci na wodzie, ani fornale. Paść też nie będą.. Pozdycha mu bydło czy co? Tylko co bydle winne?.. No niech pan sam powie.

Detektyw oczywista, zgodził się z tym zdaniem pasterza.

— I co Podgers na to?.. Przecież to dla niego strata wielka.

— Nie inaczej.. Przecie nie pozwoli, aby tyle inwentarza pozdychało. Chyba będzie musiał sprzedać.. Ale co to ludzie zapłacą za taki towar, który ktoś musi sprzedać — to pan też rozumie.

Detektyw kiwnął głową.

— I któż to za te grosze kupi całe stada owiec od waszego dziedzica?

— Widzi mi się, że to będzie chyba Simpson. On jeden może kupić, bo on jeden ma pieniądze.. Na dodatek jeszcze będzie mu musiał nasz dziedzic ziemię wydzierżawić, ale już umowę to będzie Simpson dyktował, a nie Podgers.

— A co wilkołak na to?.. Simpson będzie z nim miał takie samo zmartwienie jak Podgers!

Chłop utkwiał wzrok w ziemię. Wahał się czy ma mówić.. Wreszcie począł:

— To tak nie jest. Wcale tak nie jest.. Ten wilkołak tylko na naszego dziedzica się wziął. Chyba, że..

Chłop zamilkł.. Dickson wręczył mu srebrną monetę. To poskutkowało.

— Chyba, że sam nasz dziedzic jest wilkołakiem..

— Na coby mu się to zdało?.. Poco mu takie komedie?

— Poto tylko, żeby ludzi postraszyć... Nic więcej. Nie lubi ludzi nasz dziedzic.

— A mnie się wydaje — rzekł Dickson, — że tak wcale nie jest. Podgers nie jest wcale taki zły, jak o nim ludzie gadają. A gadają dla tego, że pochodzi z tutejszych że był-kiedyś tak samo biedny, jak oni są dzisiaj.. Ale na to nie ma rady.

— Ja tak samo mówię. Według mnie, jakby wszyscy byli bogaci, toby nikt bogaty nie był..

Stary pasterz byłby filozofował w ten sposób długo jeszcze, bo mu się wreszcie język rozwiązał, gdy nagle krzyki i hałas od zamku — przerwały te wywody.

Niebo już było całe we złocie na wschodzie, a jasne zupełnie nawet na północy. Zdaleka widać było wieżę starego zamku a na jej szczycie rozgrywał się dramat niesamowity.

Człowiek jakiś walczył widać z wrogiem, niewidocznym z dołu, gdyż widać było i szarpał i kilkakroć był w położeniu, jakby miał runąć w przepaść.

Z ust człowieka, któremu lada chwila groziła śmierć niechybna dobył się wreszcie przeraźliwy okrzyk:

— Wilk! Wilkołak!

— Na litość boską! — krzyknął Tom. — Toć to kapitan Sandbury!

Koniec tej tragedii nastąpił nagle i zupełnie nieoczekiwanie.

Kapitan Sandbury przechylił się przez parapet wieży przez chwilę jakby przeważał aż wreszcie runął. Dickson i jego uczeń w ostatniej chwili, gdy już kapitan stracił równowagę — ujrzeli odrażającą potwornie wielką głowę wilczurą. Łeb zniknął po chwili.

— Przedzaj do rannego! — zawołał Dickson do ludzi. — A my — do wieży, Tomku.

Wpadli z rewolwerami w dłoni.

Daremnie jednak przetrzasnęli kąty w całym budynku i wierzy. Daremnie kilkakrotnie przebiegli kręte schody. Potwora nie było.

— Jest napewno tajemne przejście od zamku tamtego do tej wieży — rzekł detektyw. — Wilkołak już dawno się skrył..

Na dole milczący tłum otaczał zwłoki nieszczęśliwego marynarza. Detektyw pochylił się nad nim:

— Kapitan Sandbury już nie przemówi..

## Zamek i sklepik

— Czy Mr. Simpsona zastaliśmy?

Detektyw i jego uczeń znajdowali się w wiel-

## CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGII

każdy, kto chce wzbudzić soba zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustró magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Spiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i talentami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 H.D.



**NIE ZWLEKAJ SZYBKO ZAMAWIAJ!**

UWAGA: Bezpłatnie dodamy najnowsza wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wróżenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

kim staroświeckim pokoju domu Simpsona. Deszcz padał i w wielkiej izbie panował chłód jeszcze większy niż na dworze.

— Pan dziedzic jest przy strzyżeniu. Może i przyjdzie niedługo.

Służący, który jakoś nie mógł się uporać z ciągle gasnącym ogniem na kominku nie był ani gościnny, ani nawet grzeczny.

Za oknami ukazała się szybko krocząca drobna figurka. Po chwili rozległ się dźwięczny głos dziewczęcy:

— Gdzie są ci panowie?... Czy przynajmniej ogień rozpalony?

Miss Pola Simpson, jeszcze w przemoczonej pelerynie, ukazała się w progu pokoju, rozjaśniając go swym miłym uśmiechem.

— Dzień dobry panom! Kogo to panowie przybyli aresztować w Seven-Trees, bo tak się nasza posiadłość nazywa?

— Nikogo.... Chcieliśmy tylko zamienić kilka słów z pani ojcem.

— Ojciec jest zajęty, ale ja go we wszystkim zastępuję, więc możebym mogła panu służyć...

— Nie wątpię, miss, że znany jest pani wypadek dzisiejszy...

— Ależ naturalnie. Przecież ludzie tylko o tym mówią. Biedny Sandbury... Bardzo mi go żal. Był to człowiek bardzo uczciwy i szlachetny choć ostatnio przez ciągle niepowodzenia jakby wykolejony trochę.

— Na niepowodzenia nie może narzekać i Mr. Podgers. Traci pono wszystkich swych ludzi. Jego stada narażone są albo na głód, albo też przejdą w inne ręce, oczywiście, za psie pieniądze...

Po pięknej twarzyczce młodej dziewczyny przebiegł cień smutku. Westchnęła głęboko i rzekła:

— Wiem o tym... I żal mi bardzo Podgersa.

— Czy prawdą jest, że istniały między nim a panią jakieś tarcia?..

— Wie pan, jak widzę, wszystko. — Tak jest. Tarcia między nami istniały. Podgers mnie obraził, sądził, że można mnie kupić. Ale wybaczyłam mu, wybaczyłam mu z całego serca.

Dziewczyna zamyśliła się, spuściła oczy i po chwili zarumieniła się mocno...

Dickson choć nie chciał, musiał jednak postawić jeszcze jedno pytanie:

— A ojciec za co żywi żal do Podgersa. Czy tylko za to, że kupił on wasz majątek rodowy za marne pieniądze?

— Tylko i jedynie za to... Daremnie tłumaczę ojcu, że gdyby nie Podgers, znalazłby się ktoś inny, ktoby za te same pieniądze kupił naszą posiadłość.

Głośne kroki rozległy się w sieni.

— Idzie ojciec, — rzekła Miss Pola i widać było, że rada jest, iż rozmowa z Dicksonem w ten sposób się urwała.

Harald Simpson, typowy szlachcic zagrodowy, o siwych włosach, rysach twarzy ostrych i znamionujących silną wolę, ognistym spojrzeniu szarych oczu — przywitał się z detektywem prawie jowialnie.

— Jestem. Sam Harry Dickson przyszedł do mnie. Naturalnie, że ma mi do postawienia tysiące pytań... Słucham.

Tysiąca pytań detektyw nie postawił, ale z tych kilkunastu, które mu zadał dowiedział się, że Simpson poczynił już przygotowania, aby kupić trzodę swego zrujnowanego sąsiada i że nie myśli swego postanowienia zmienić.

— Ludzie nie chcą u niego pracować. Mają dość tych historii z wilkołakiem.

— Ale gdyby ojciec chciał — potrafiłby skłonić ludzi, aby zostali u Mr. Podgersa...

Głos pięknej dziewczyny aż drżał ze wzruszenia, gdy te słowa wypowiedziała.

Z oczu starego Simpsona posypały się skry.

— Nie wtrącaj się do nie swoich spraw! Podgers o mnie również się nie martwił, gdy kupował nasz majątek. Zresztą — pociesz się: przecież się zaręczył z Miss Lind!

— Co pan mówi! — zdziwił się detektyw. — Czy to możliwe? Podgers żeni się z Miss Lind?

— Całe miasto o tym mówi. Mój szanowny sąsiad zawiadomił oficjalnie o swych z nią zaręczynach.

Dickson wstał z nachmurzonym czołem. Ta wiadomość dawała mu dużo do myślenia.

— Znam tę panią jedynie z przelotnej rozmowy. Czy mógłby mi pan podać nieco szczegółów dotyczących jej osoby?

Simpson wzruszył ramionami.

— Przybyła w te strony przed trzema laty. Młoda już nie jest. Chyba niedaleko pięćdziesiątka będzie już miała. Najsamprzód miała naprzeciwko zamku mały handel niemi, przyborami do szycia, haftowania i robót na drutach. Po pewnym czasie wstąpiła jako młodsza nauczycielka do szkoły założonej przez Podgersa. Tyle mogę o niej powiedzieć. Nie żyje z ludźmi. Trzyma się na uboczu.

— A co ze sklepem?

— Poprostu przestała się nim zajmować. Mieszka teraz w szkole a lokal po sklepie jest zamknięty.

Detektyw podziękował Simpsonowi za te informacje. Gdy mu Miss Pola podawała małą rączkę, detektyw zauważył, że dłoń jej drżała i że młoda dziewczyna była bardzo blada.

★

Zapadł wczesny, jesienny mrok, gdy detektyw wraz ze swym uczniem wyszli z domu Simpsona. Dickson szedł powoli, pogrążony w myślach. Nagle zatrzymał się i ciężko położył swą zmęczoną dłoń na ramieniu Toma:

— Kiępsko jest mój kochany... Za prędko rozgrywają się wypadki. Nie możemy za nimi nadążyć. Gdybyśmy wiedzieli dłaczego Podgers postanowił poślubić Miss Lind — możebyśmy wiedzieli wszystko.



— Szkoda, że nie mogliśmy dosłyszeć ich rozmowy.

— Wielka szkoda — potwierdził detektyw. — Ale może nam się uda powetować sobie tę szkodę. Złożymy dziś w nocy wizytę, możliwie dyskretną, w starym sklepie z robotkami Miss Lind. Sklep ten jest w tak bliskim sąsiedztwie z zamkiem — że niewątpliwie istnieć musi między nimi jakieś tajemne połączenie. Zresztą sama Lindy, wychodząc od Podgersa znikła nam nagle... Czy pamiętasz?

Debatowali jeszcze przez kilka chwil nad tą kwestią, gdy znaleźli się przed drzwiami oberży.

Czekała ich kolacja tak suta o daniach tak wyszukanych, że Dickson nie czuł się na siłach skonsumowania wszystkiego. Traf chciał, że za sąsiednim stołem siedział sierżant Hormond. Zły humor jakoś minął Dicksonowi i zwrócił się do sierżanta tonem żartobliwym:

— Sierżancie? Czy już pan po kolacji?

— Jeszcze nie, sir.

— Czy jest pan obowiązany okazywać mi pomoc.

— Tak jest! — Policjant z małego miasteczka spoważniał, sądził, że czekają go wymówki.

— Tak jest — powtórzył.

— W takim razie wzywam pana, aby mi pomógł przy spożywaniu darów bożych! Jest tego nie na dwóch, ale na dziesięciu.

Hormond rozchmurzył się i z radością zgodził się.

Po zakąskach Dickson odrazu przystąpił do rzeczy:

— Cóż pan kolega powie o tak nagłych zaręczynach naszego dziedzica z nauczycielką?

Hormond przekłnął kawałek homara i machnąwszy ręką, rzekł:

— Dobrali się w korcu maku. Ani jego żadna by nie chciała, ani ona nie znalazłaby tak prędko amatora...

— Czy Miss Lind nie miała tutaj innych bliższych znajomości?

— Ale skądże znowu... To przecież już stary grzyb. Przez cały dzień siedziała w domu przy szkole.

— A gdzie Miss Lindy mieszkała przed tym?

— W Liverpoolu.

— A kapitał Sandbury?

— Również w Liverpoolu.

— A Jeffries?

Sierżant Hormond aż odłożył widelec.

— Patrzcie państwo! I Jeffries też pochodzi z Liverpoolu. No ale Liverpool jest wielki i to nie wiele znaczy. Prawie wszyscy ludzie z flotyli Podgersa przybyli z Liverpoolu. To najbliższy wielki port od nas.

— Fakt, że ci ludzie porzucają pracę, musi być ciężkim ciosem dla Podgersa. Jego kopalnie marmuru staną i ich produkcja nigdy może już nie będzie wznowiona. A Podgers ciągnął z tego pono wielkie zyski.

Hormond wybuchnął głośnym śmiechem.

— Kopalnia marmuru!.. Też mi wielki marmur. Jest w tym prawie kryminalna przesada. Ten kamień jest lichego gatunku, z marmurem ma bardzo mało wspólnego i gdy go Podgers nie będzie ekspediował — nie poniesie na tym chyba żadnej straty. Co innego strajk pasterzy... Tu czekają go wielkie straty. Musi sprzedać owce.

Dickson zaczął myśleć głośno:

— Kamień taki marny, a specjalne statki czekają na ten ładunek na morzu przed portem. Bardzo dziwna sprawa... I to się ma opłacać?

— Istotnie... Że też ja o tym nigdy nie pomyślałem.

Sierżant zamyślił się również głęboko.

— I przy tym przecież taki ładunek jest bardzo ciężki... A jakoś statki Podgersa nie mają tak wielkiego zamunzenia. Nie mają, bo kanał jest płytki...

— Czy od kopalni jest jaka droga w głąb kraju? — zagadnął detektyw sierżanta.

— Jest. I to bardzo dobra droga. Kursują po niej duże auta ciężarowe.

— Bardzo dobra droga — powiada pan, sierżancie... Bardzo panu dziękuję za te informacje. — Detektyw wydarł kartkę papieru ze swego notesu. — Będzie pan łaskaw drogą służbową, jako ściśle poufną nadać depeszę. — Dickson skreślił kilka słów... Oto jest tekst.

— Nie! Przecież oczom się wierzyć nie chce! — krzyknął Hormond, gdy przebiegł oczyma tekst depeszy.

— Ani słowa! Ani mru-mru, sierżancie! Mamy właśnie likier i czarną kawę. Jadacie tutaj doskonale w tej waszej idyllicznej wiosce, w której wilkołaki jak gołębie spacerują po ulicach... Kellner! Proszę jeszcze trzy koniaki!

★

Było już koło północy, gdy detektywi opuścili oberżę.

Miało się na gwałtowną, prawdziwie jesienną burzę. Wiatr unosił zeschnięte liście, szumił żałośnie w drzewach i huczał na strychach domów.

— Prawdziwa noc na taką eskapadę do starego zamczyska. Tak być powinno, — dowcipkował Dickson, otulając się szczelnie w swe nieprzemakalne palto na podpince.

Szli w górę główną ulicą i zmierzali do rysujących się zdala na ciemnym horyzoncie ciężkich konturów zamku „Campanula“. Bez trudu odnalazł dawny sklepik Miss Lind.

— Marny handelek! — zauważył Tom. — Nie ma co, awansowała w życiu ta kobieta, jeśli z tej rudery przejść ma do tamtego pałacu.

Detektyw zajął się tymczasem zamkiem. Zamek był skomplikowany i bardzo mocny.

— Jak na pusty sklepik — bardzo mocne zamknięcie — dziwił się Tom.

Znaleźli się wreszcie w małym pomieszczeniu, o niskim suficie i ścianach, z których już tynk opadał. Nieco dokładniejszy rzut oka na mury przy świetle latarki odrazu ich poinformował, że za tylną ścianą, przesłoniętą dużymi drzwiami dębowymi, musi się zaczynać korytarz podziemny. Był to jeden z owych lochów, tak często budowanych w średniowieczu, który umożliwiał podziemne przejście z zamku do miasta i ułatwiał obronę, ucieczkę, ale i wyprawy natury sentymentalnej z zamku do miasta i w kierunku odwrotnym. Ciemna gardziel otworu lochu zionęła ku nim tajemnicą i chłodem...

Z bronią gotową do strzału i płonącymi latarkami, przyczepionymi do guzików płaszczy — ruszyli w głąb.

Loch był stosunkowo dobrze utrzymany. Przeszli całą długość, bez trudu. Po kilkunastu minutach znaleźli się na małej platformie. Kręte bardzo wąskie schody zaczynały się w tym miejscu i prowadziły w górę.

— Gdzie jesteśmy, mistrzu?

— Już na terenie Campanulii, poza murem. Najpewniej w jednej z wieżyczek.

— Sądziłem, że ten korytarz podziemny prowadzi do wielkiej wieży, z której runął Sandbury... Zdaje mi się, że część budowli, w której wznosi się ta wieża nazwał Podgers „Piratami“.

Detektyw zamyślił się.

— Masz rację. I mnie się wydaje, że powinniśmy się znajdować nad główną, wysoką wieżą. Jakże inaczej mógłby wilkołak przedostawać się z zewnątrz aż do wysokiej wieży?... — Nagle detektyw uderzył się w czoło: — Już mam! Zapomniałem o drodze na szczycie murów... Mury są bardzo grube. Na ich bastionach biegnie droga obmurowana w ten sposób, że człowiek nieco pochylony, lub na czworakach — może przebiec wokół całego zamku, nie będąc widzianym przez nikogo. Podczas, gdyśmy po tragedii z Sandburym szukali bestii — nasz wilkołak przebiegł górą z wieży w „Piratach“ do tej tutaj wieżyczki, przedostał się do sklepiku, zrzucił ze siebie swe ohydne przebranie i wyszedł na ulicę miasta...

— Tym wilkołakiem była Miss Lind! — rzekł Tom z mocą...

— Miss Lind i nie Miss Lind... przekonasz się o tym rychło. Poza tym będziemy mieli jeszcze z innymi sprawami do czynienia... Dowiesz się i o tym niedługo... Czy wiesz, do kogo należy domek, w którym mieścił się sklepik Miss Lind?

— Do Miss Lind, oczywiście.

— Nie, my boy do Poli Simpson. Odziedziczyła go po matce!

## Na lądzie i morzu

Kanał w Durhill należy do najdziwniejszych linii wodnych w całym kraju. Zasila go małe jezioro i przepływy morskie. Prócz statków Podgersa nie ma na nim wcale żeglugi i nie ma oczywiście żadnej kontroli. Miejscowość Rock Head — to jakby długi półwysep skalny, wprowadzający kanał daleko w morze.

Po dwóch dniach w tym to Rock Head można było znaleźć naszą trójkę. Dicksona, Toma Willsa i sierżanta Hormonda, oczekujących wodą pod ulicznym deszczem, ale nie tracących dobrego humoru.

Zdaleka widać było wieżę „Piratów“.

— Na wieży zapłonęło światło. Ktoś daje sygnały statkom Podgersa, zbliżającym się. — Komunikował dalej Tom.

Nie zdążył jeszcze młody człowiek skończyć tego zdania, gdy zaraportował Hormond:

— Dym z dwóch okrętów od strony Liverpoolu!

Detektyw przyłożył lunetę do oczu.

— „Fulgor“ i „Meteor“ — statki strażnicze floty Jego Królewskiej Mości! — zawołał z radością w głosie Dickson. — Za godzinę wszystko będzie skończone.

— Ostrzeżenie dla statków Podgersa.

Dwa szybkie okręty floty królewskiej szły pod pełną parą. Były już w odległości niespełna kilometra od skalistego wejścia do kanału. Nagle jeden z nich zionął ogniem i dymem. W chwilę po tym uszu trzech policjantów doszedł odgłos wystrzału armatniego.

— Ostrzeżenie dla statków Podgersa.

„Junak“ szedł pełną parą z powrotem, a inne poszły za jego przykładem. Prowadzony pewną ale ryzykowną dłonią — „Junak“ podszedł do samych skał, otarł się o nie i zatrzymał w małej zatoczce.

„Fulgor“ i „Meteor“ jak dwa gończe pruty wzbudzone fale — ściągającą się flotyllę. Jaakaś sylwetka wyskoczyła z pokładu „Junaka“ i skacząc z kamienia na kamień zdążyła ku ruinom „Piratów“.

— Do „Piratów“! — rzucił krótki rozkaz detektywów.

Pod siekącym deszczem przebiegli kilkaset metrów dzielących ich od wieży. Szli potem pod górę krętymi schodkami. Już na dole uczyli silny zapach spalenizny. Im byli wyżej — tym woń ta stawała się ostrzejsza.

— To woń po raketach, — wyjaśnił detektyw.

Z bronią w ręku otworzyli wreszcie małe drzwi, prowadzące do strażnicy na wieży. Silna lampa acetylenowa paliła się na stole. Popiół na podłodze świadczył o własnych dopiero co sygnałach świetlnych.

W kącie, koło otworu strzelniczego siedziała na podłodze jakaś potworna postać. Gdy na palcach podeszli bliżej — dojrżeli ku swemu przerażeniu olbrzymiego wilka, mierzącego z karabinu w ciemność za oknem.

— Nie strzelać! Na nic się ta zbrodnia już nie zda! — krzyknął Dickson wyrwijąc dziwnej postaci broń.

„Willk“ podniósł się i stanął na zadnich łapach.

— Pora zrzucić tę maskę! Dosyć tego!

Rozległo się głębokie westchnienie i obrzydliwy przed trzema policjantami stał Podgers. Był zupełnie złamany i padł bez sił na podłogę.

★

— A teraz cicho — rozkazał detektyw.

Gdy drzwi się otworzyły, Dickson rzucił ostro:

— Przegraliście! Aresztuję panią!

— Miss Lind! — zawołał zdumiony Tom Willis.

— Miss Anna Lind za czasów pańskich, obecnie wdowa po Jeffriesie, sternik i komendant „Junaka“. Bardzo dzielny z pani marynarz — pani Jeffries.

— Więc ten wół głupi mnie sprzedał! — krzyknęła nauczycielka. — Ale pan nie ma przeciwko mnie żadnych dowodów.. Nic mi nie zrobicie.

— Ten człowiek, — odparł detektyw, wskazując na Podgersa, który skulony siedział na podłodze — już dość przez panią wycierpiał. Z rozpaczy gotów był panią teraz zastrzelić. Uratowaliśmy panią, szkoda tylko, że nie udało nam się uratować Jeffriesa, który zginął z pani ręki.

— Gdzie ma pan dowody? Samym gadaniem niczego pan nie dowiedzie.

— Mam dowody. Pani była wilkołakiem!

Nagle drzwi otworzyły się. Przesiąknięta od ulewy do ostatniej nitki, stanęła we drzwiach Miss Simpson.

— I ja nim byłam! — rzekła.

— Wiem o tym, ale tylko, aby ratować cudze życie.

Nastała chwila ciszy. Słychać było tylko wycie zawiei za oknem.

Przerwał ją Tom Willis odezwaniem się, które wywołało uśmiech nawet na ustach wściekłej wdowy Jeffries.

— Nic nie rozumiem...

— Nałóż kajdanki na ręce tej kobiecie — rozkazał Dickson — A ponieważ deszcz nie ustaje

i wicher dalej wyje — wyjaśnię wam wszystko od początku.

★

Stan finansowy Podgersa był ostatnio opłakany. Jego nieruchomości były zadłużone, a kopalnia marmuru nie przynosiła zysku, bo kamień był pośledniego gatunku. W dodatku Harald Simpson czynił wszystko, aby zrujnować swego sąsiada i zemścić się za to, że Podgers kupił kiedyś na licytacji jego majątek.

W tym okresie Podgers poznał w Liverpoolu kapitana Sandbury. Przyjął go do siebie, bo miał dla niego wiele współczucia. Ale Podgers miał złego ducha, który był sprawcą wszystkich jego nieszczęść w życiu. Był nim Jeffries i jego żona, urodzona Miss Lind.

Jeffries był oficerem na statku, którym dowodził Sandbury, został szybko przyjęty do służby w flotyli Podgersa. Ten przestępca z nałogu od razu wyczuł jak wielkie zyski osiągnąć można przez prowadzenie przemytu na zupełnie niestrzeżonym kanale Dunhill. Gdy początkowo Sandbury się ociągał — zdobyła go dla tej myśli Missis Jeffries, kobieta jeszcze wtedy piękna.

Podgers, człowiek słaby, mimo swej pozornej brutalności, uległ tej przestępczej trójce tym bardziej, że zdawał sobie sprawę ze złego stanu swych interesów.

Jeffries był o tyle wyrafinowany, że nie zdradził się z węzłów, jakie go łączyły z Miss Lind, która występowała jako panna. Rychło zapłonął Sandbury do niej miłością tak gwałtowną, że gotów był dla niej na wszystko: nawet na zbrodnię.

Gdy się przekonał, że Miss Lind wzbudziła zainteresowanie w Podgersie — postanowił go zniszczyć a może nawet i zgładzić.

W tym celu Sandbury rozpoczął ową makabryczną komedię z wilkołakiem i napadł w gąszczu leśnym na Barnetta. Kapitan liczył, że o tę zbrodnię zostanie zatrzymany Podgers. Ten sam Sandbury, ciągle występując jako wilkołak powstrzymał wszystkich ludzi na statkach — przypuszczał, że może z kolei w ten sposób zgubi nieszczęśliwego Podgersa.

— Z drugiej strony ta tutaj kobieta, — ciągnął detektyw, wskazując na Miss Lind, — postanowiła wykorzystać co najmniej sympatię, a może i głębsze zainteresowanie, jakie jej okazywał Podgers i powiedziała sobie, że zostanie jego żoną i panią jego włości. W tym celu musiała się uwolnić od Jeffriesa. Podczas obławy wywołała go sygnałem i zabiła. Ta zbrodniarka pozostawiła rozmyślnie śla

dy wilka—aby znów ludzie tę tragedię przypisywali owej baśniowej bestii.

Gdy Sandbury dowiedział się o tym, gdy się przekonał, że ta zbrodnicza kobieta dąży do tego, aby uwolnić się z kolei od niego i poślubić Podgersa — chciał ją zabić i czekał na nią w wieży. Ale wahał się. Wtedy napadła go ona od tyłu i chciała zrzucić z góry. Obroniła go Miss Simpson. Sandbury gotów był potem popełnić samobójstwo i Miss Simpson, przywdziawszy skórę wilczura — starała się go uratować... Nie udało jej się to jednak.

Miss Simpson poczęła szlochać.

— Tak jest. To prawda. Widziałem ile krzywd czynił ojciec Mr. Podgersowi, chciałam ją WILKOŁAK — Dickson — 7 A

kość nad nim czuć. Wiedziałam o wszystkim co tutaj się dzieje już od dawna..

— Ale dlaczego Podgers przebrał się w skórę wilkołaka? — rzucił pytanie Tom.

— Na to pytanie odpowie nam sam Mr. Podgers.

Nieszczęśliwiec westchnął ciężko:

— Postanowiłem skończyć z tym wszystkim. Chciałem po raz ostatni nastraszyć ją tą maskarą, którą ona straszyla ludzi, a potem chciałem palnąć sobie w łeb! Ale gdym słyszał, że tu idzie — wolałem do niej mierzyć z daleka. Nie wiem, czybym i zdaleka potrafił strzelić...

— A dlaczego się pan zdecydował na małżeństwo z Miss Lind?

— Szantażowała mnie. Groziła doniesieniem o kontrabandzie. Byłem bez wyjścia.

Miss Simpson, która słuchała uważnie, zwróciła się do detektywa:

— Proszę pana, jaka kara czeka Poppy?

— Poppy!? — zawołał Podgers. — Nazwała mnie Poppy? Jestem najszczęśliwszym z ludzi.

— Wysoka grzywna i pewnie konfiskata statków. Będzie pewnie biedny po zapłaceniu wszystkich.

— To nie! Będziemy razem pracowali! Będziemy pracowali uczciwie!

— Mr. Dickson — zerwał się Podgers. — Proszę mnie aresztować. Będę najszczęśliwszym z ludzi, którzy kiedykolwiek zniknęli za kratami więzienia! Hurra! Moja jedyna Pola!

★

Harold Simpson odkupił ziemie Podgersa. Ale, że stał się jego teściem — tedy razem pracowali i razem cieszyli się młodym chłopczykiem, którego wydała na świat Missis Pola Podgers.

KONIEC.

Następny **Nr. 35 Harry Dicksona**,  
który ukaże się we wtorek, dn. 6-go września  
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

**„GWIAZDA POLARNA“**

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebывałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

### Dofychezas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- |                                    |                               |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY”                   | 17. DUCH ŚWIATŁA              |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY” | 18. CZERWONA DAMA             |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH”         | 19. MIASTO PIRATÓW            |
| 4. „DOM NA MOCZARACH”              | 20. POSTRACH LONDYNU          |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU”             | 21. Tajemnica Łodzi podwodnej |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ”             | 22. NIEBIESKI BOCIAN          |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA”                 | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.      |
| 8. „KRÓL NOCY”                     | 24. HAWAJSKI SZTYLET.         |
| 9. „POSEPNA KABAŁA”                | 25. WOSKOWE JABŁKO            |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ”          | 26. WIELKA GRA.               |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ”             | 27. HOTEL EMIGRANTÓW.         |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ”               | 28. KRWAWY KLEJNOT            |
| 13. „DOM, W KTÓRYM STRASZY         | 29. SZTUCZNE ZŁOTO.           |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA                   | 30. CZARNY MŚCICIEL.          |
| 15. WIDMO TUŁACZA                  | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI.        |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT           | 32. POŻAR W MIASTECZKU.       |
|                                    | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG.        |

Czytajcie

Czytajcie

## PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

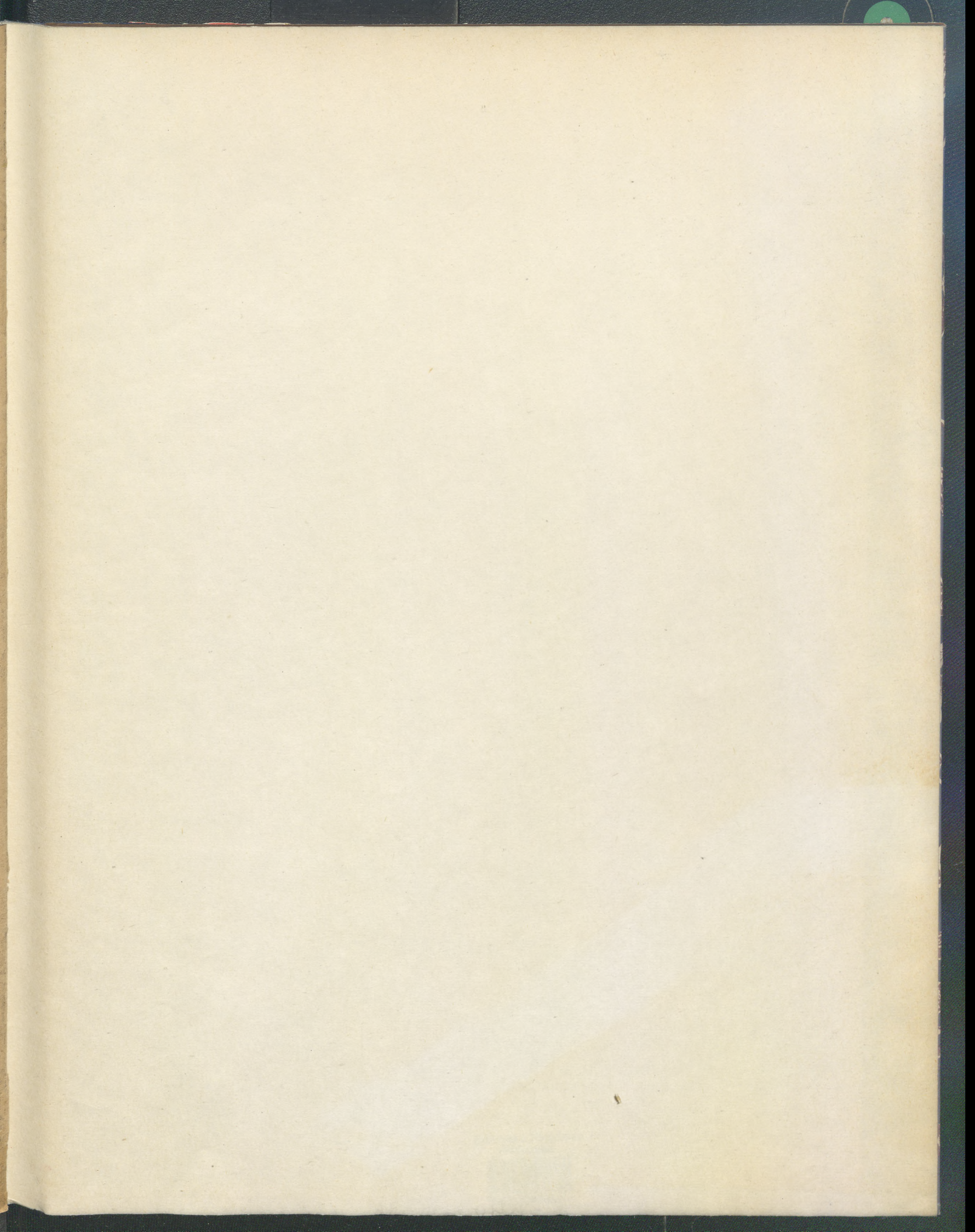
10 gr.

Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak.

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska 49 i 64.

Konto P. K. O. 68148, adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14, Redakcji — tel. 136-56.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024366074





**BN**

BIBLIOTEKA  
NARODOWA

623405 <sup>20j</sup>

34

